NUMER 116/117

1950

PORADNIK ŚWIETLICOWY

wydawnictwo
Światowego Komitetu
Y.M.C.A.
Sekcja Polska
w W. Brytanii

TREŚĆ:

PRENUMERATA: Roczna — £ 1 sh. 1/-. Półroczna — sh. 12/-.
Cena numeru pojedyńczego sh. 2/-, podwójnego sh. 4/- wraz z przesyłką.

OGŁOSZENIA: 1/1 str. — £ 40. 1/2 str. — £ 21. 1/4 str. — £ 11. 1/8 str. — £ 6. 1/16 str. — £ 4.

Rękopisów niezamówionych i niezastrzeżonych Redakcja nie zwraca.
Przedruk materiałów oryginalnych i specjalnie dla „Poradnika Świetlicowego" napisanych dozwolony tylko za podaniem źródła.

Printed by: Drukarnia Polska M. Caplin & Co., Press Ltd., 15, Dunheved Road North, Thornton Heath, Surrey. Tel. THO 2727

PORADNIK ŚWIETLICOWY

ADVISER FOR EDUCATIONAL AND SOCIAL WORKERS

Rok 11
Nr 116/117

Wydawca: Światowy Komitet Y.M.C.A., Sekcja Polska w W. Brytanii,
6, Cadogan Gdns, London, S.W.3, tel. SLOane 8821.

Kwiecień — maj
1950

FELIKS BIELSKI

O PRZEKONYWANIU

Na obczyźnie często zależy nam na tym, aby otoczenie zaczęło podzielać nasze poglądy. Poświęcamy wiele wysiłku i żarliwości dla zaspokojenia tej potrzeby uczuciowej. Wyniki są zazwyczaj dalekie od naszych oczekiwań. Nawet takie prawdy, które w naszych własnych oczach wydają się oczywiste i najzupełniej niesporne, jakoś nie znajdują współwyznawców. To nas najpierw dziwi, potem drażni, a w końcu gniewa. Zaczynamy przypuszczać, że widocznie obce środowisko, z którym mamy do czynienia, dotknięte jest chwilowym zamroczeniem lub stałym kalectwem, i za przykładem Zagłoby gotowi jesteśmy zapytać: Zali ja sam tylko jestem trzeźwy in universo?

W imię sprawiedliwości warto spojrzeć na sprawę z punktu widzenia przeciwników. Umysły ich nie są na pewno jakąś niezapisaną tablicą. I oni mają jakiś własny system przeświadczeń, któremu chcieliby nadać jak największą powszechność. I oni niecierpliwią się, jeśli w tym naturalnym dążeniu napotykają na niespodziewane opory. Jeżeli stać ich na obiektywizm, skłonni są w najlepszym dla nas przypadku uznać równorzędność naszego stanowiska. Zazwyczaj jednak kończy się na niezbyt pochlebnej ocenie naszych zdolności umysłowych.

Gdybyśmy poprzestali na stwierdzeniu takiego stanu rzeczy, wynikałoby stąd, że nie warto się silić na przekonywanie kogokolwiek, gdyż trud ten się nie opłaca. Doświadczenie życiowe takiego sceptycyzmu nie uzasadnia. Wiadomo, że poglądy ulegają zmianom i że w procesie tym doniosłe znaczenie przypada w udziale jednostkom, wypowiadającym sądy odmienne od naszych. To prawda, że składanie broni przy bezpośrednim starciu słownym jest zjawiskiem nieczęstym. Czego jednak nie udaje się osiągnąć jednorazowym zrywem, to przyjść może później, w miarę pogłębiania się wzajemnego zrozumienia.

To pewna, że przekonywanie innych i nawracanie ich na własną wiarę jest zadaniem złożonym. Aby zapobiec przedwczesnemu zniechęceniu czy zniecierpliwieniu, które sprawę tylko pogarsza, warto zdać sobie sprawę z różnorodnych przeszkód, które trzeba pokonać, i to niezależnie od własnej siły przekonania. Ważniejsze od logicznej poprawności wywodów jest wytworzenie sprzyjającej atmosfery, torującej drogę wygłaszanym sądom. Wbrew bowiem wszelkim pozorom efekt wymiany zdań zależy w bardzo znacznej mierze od czynników natury uczuciowej.

Technice przekonywania poświęcono wiele rozważań teoretycznych. Istnieją szczegółowe podręczniki, dostarczające wskazówek aż nazbyt szczegółowych i dlatego niebardzo nadających się do zastosowania w praktyce. W Polsce przedwojennej prof. Tadeusz Kotarbiński ogłosił znakomite studium p.t. „O sztuce prowadzenia sporów''. Popularne ujęcie tematu znaleźć można w ciekawym artykule Louis J. Halle Jr. p.t. „Raw materials of persuasion'', który drukowano w tegorocznym numerze marcowym amerykańskiego czasopisma „The Saturday Review of Literature''. Niektóre poglądy autora dadzą się zastosować do naszych warunków.

Słuszne jest spostrzeżenie autora, że większość spośród nas jest podatna na argumentację tylko w wąskim zakresie. Umysły nasze powzięły już pewne decyzje w sprawie podstawowych życiowych. „Dokonaliśmy... koniecznych potwierdzeń i odrzuceń i wynurzyliśmy się z tego procesu z przekonaniami, których gotowi jesteśmy bronić wobec świata. Nie można oczekiwać łatwej rezygnacji z tych przekonań, ponieważ od nich zależy nasze zdrowie wewnętrzne. One reprezentują dla nas porządek, stworzony z chaosu. Cieszą mię książki, które potwierdzają i wzmacniają moje przekonania, i słuchałbym w nieskończoność człowieka, czyniącego to samo; nie mogę natomiast tolerować ataku, gdyż grozi on przywróceniem pierwotnego chaosu. Im bardziej przekonywujące są cudze wywody, tym gwałtowniej rośnie moje zaalarmowanie i oburzenie, aż w końcu zamykam przed nimi drzwi''.

Aby zapobiec takiej reakcji, najlepiej unikać akcentowania własnej wyższości i drażnienia dumy naszych oponentów. Dla ilustracji swojego stanowiska autor opowiada starą bajkę o współzawodnictwie między wiatrem i słońcem. Aby udowodnić swojej siły, wiatr chciał gwałtem zedrzeć ubranie z człowieka, zbłąkanego w polu. Skutek był taki, że przechodzień najpierw podniósł kołnierz, potem szczelniej otulił się płaszczem, a w końcu zapiął go na wszystkie guziki. Natomiast słońce łaskawie objęło człowieka swoimi promieniami, — i cóż się stało? Ten dobrowolnie odpiął płaszcz, potem rozsunął jego poły, wreszcie zdjął z siebie okrycie.

Czy warto rozpoczynać starcie słowne od takiego wyzwania, którego stawką jest duma i poczucie godności? Pycha nie jest w dyskusjach najlepszym doradcą. „Okazywać swój dowcip — to dyskredytować własną mądrość''. Jeśli nawet mamy do czynienia z kimś, kto zabiera głos w sprawach, na których się nie zna, dobrze jest niekiedy oświadczyć mu, że wie o temacie więcej od nas. Wówczas rozmówca zawstydzi się i odpłaci nam tą samą szlachetną monetą, uznając nasz autorytet.

Ciężka droga, przez którą przeszli Polacy, dała im wiele nauki. Niejednokrotnie widzą oni jasno takie zjawiska, których obcy nie dostrzegają. Dlatego zbyt pochopnie zrażają się do nowego otoczenia i zamykają we własnym świecie myślowym. Taka postawa sytuacji nie polepsza. Jeżeli oddźwięk jest za słaby, czyja w tym wina? Możeśmy zastosowali niewłaściwe metody? A może wystąpienie było przedwczesne? Może natarcie było za ostre i zbyt buńczuczne?

ŚWIETLICA

technika pracy — zagadnienia kulturalne i oświatowe

TADEUSZ BORNHOLTZ

HISTORIA W SŁUŻBIE ŚWIETLICOWEJ*)

Na początku kilka uwag, związanych z trudnością znalezienia odpowiedniego tytułu dla mych skromnych rozważań, których cel jest dwojaki: zwrócenie uwagi na powagę samego zagadnienia oraz skłonienie czytających do prób zrealizowania pewnych postulatów i pomysłów w pracy świetlicowej.

Tytuł poważny, naukowy, godny tematu, aczkolwiek nastroiłby może dobrze fachowców (naukowców) — o ile by oczywiście nie mieli pretensji do samej treści — mógłby odstraszyć skromnych, zwykłych pracowników świetlicowych nie będących historykami z zawodu czy wykształcenia. Tytuł bardziej lekki, a nie daj Boże frywolny, może przyciągnąłby uwagę zwykłych śmiertelników, a może nawet skłoniłby ich do prób realizacyjnych, ale mógłby narazić autora na zarzut lekceważenia czy też niedość poważnego podejścia do sprawy.

Dlatego wspominam o kłopotach z tytułem, że dotykają one najistotniejszego problemu w całym tym zagadnieniu: jak pogodzić wymagania pewnej rzetelności naukowej w dziedzinie historii z potrzebami zupełnie utylitarnymi życia codziennego. To samo zagadnienie, ujęte z trochę innego punktu widzenia, brzmiałoby: jak doprowadzić do tego, aby historia, której ważność kulturalną, wychowawczą i oświatową uznajemy wszyscy bezapelacyjnie, zaczęła swe zadania **rzeczywiście** spełniać na wąskim co prawda, ale bardzo ważnym odcinku pracy świetlicowej na obczyźnie.

Za punkt wyjściowy do swych rozważań obieram kilka stwierdzeń zasadniczych:

1) historia służyć winna w naszym otoczeniu przede wszystkim do zaspokojenia potrzeb uczuciowych uczestników prac świetlicowych,

2) elementy historyczne, uwzględniane dotychczas w pracy świetlicowej, nie spełniają swej roli w takim zakresie i stopniu, jak tego można by oczekiwać,

3) stan wiedzy i wyszkolenia historycznego wśród szerokiego ogółu jest raczej dość niski,

4) nie trzeba być fachowym historykiem, aby móc wprzęgnąć historię do służby w pracy świetlicowej.

POTRZEBY UCZUCIOWE

Nie siląc się na własne sformułowania zadań i roli, jaka przypada świetlicom w obecnych naszych warunkach, poprzestaję na przypomnieniu zasadniczych stwierdzeń, zawartych w artykule, który ukazał się w Nrze 79/80 „Poradnika Świetlicowego":

„Świetlicom przypadnie w udziale rola ośrodków wzajemnego współżycia, zaspokajających dotkliwą potrzebę uczuciową naszej egzystencji tak zbiorowej, jak i indywidualnej... Dostarczanie rodzimych wartości kulturalnych w najszerszym znaczeniu, popieranie naturalnego pędu w kierunku samokształcenia — oto rola świetlicy..."

Głównie dla uczuciowych względów (w najszerszym znaczeniu tego słowa) ludzie na obczyźnie przychodzą do świetlicy. Potrzeba serca, tęsknota za gromadą polską (jakkolwiek by się na nią „pyszczyło"), za słowem polskim, muzyką polską, mniej lub więcej uświadomiona chęć poczucia się pełnym człowiekiem, którego współtowarzysze w pełni rozumieją i który innych w pełni rozumie (w dosłownym i przenośnym znaczeniu tego słowa) — oto motywy główne, pociągające do świetlicy. Inne względy, jak intelektualne, utylitarne, rozrywkowe itp., stoją raczej na planie dalszym.

Jeśli więc zadaniem pracy świetlicowej jest zaspokajanie tych właśnie potrzeb serca, dla których przychodzą ludzie do świetlicy, to wprowadzając jakiekolwiek elementy w pracy świetlicowej, musimy im wyznaczyć specjalną rolę: zaspokajania tych właśnie, a nie innych, mniej dotkliwie odczuwanych lub przez nas (projektodawców i układaczy programów pracy) wymyślonych potrzeb. W konsekwencji więc i historia z tą właśnie myślą musi być zużytkowana w pracy. A więc nie może ona być celem sama dla siebie (nie może więc być nauczaniem historii), ale musi być narzędziem, pomocą. (Jestem przekonany, że w tym miejscu zapewne niejeden z fachowców-historyków wzdrygnie się nerwowo. Ale trudno...)

Faktu, że wśród wartości kulturalnych elementy historyczne stanowią bardzo poważny, a nawet dominujący czynnik, uzasadniać nie trzeba. Powstaje jednak pytanie, czy można historią zaspokajać potrzeby uczuciowe? Analizując aktualne potrzeby serca Polaka na obczyźnie (które są częściowo odmienne od analogicznych potrzeb Polaka w Kraju), pragnę zatrzymać się specjalnie na jednej. Polak, przychodzący do świetlicy, pragnie poczuć się **pełnym człowiekiem**, którym się w bardzo wielu wypadkach (mówię o tych, którzy stale przebywają, pracują i mieszkają w obcym narodowościowo środowisku) nie czuje, choćby nie wiem, jak nadrabiał miną, pewnością siebie, lekceważeniem czy obojętnością. Z grubsza biorąc, w stosunku do otaczających nas ludzi

*) *Por. artykul Jana Dąbrowskiego p.t. „Uczmy się historii". „Poradnik Świetlicowy", Nr 93, str. 5—10.*

obcych przybieramy albo postawę bezapelacyjnej aprobaty (podobają się nam, pochwalamy ich, naśladujemy), albo też postawę dezaprobaty (widzimy tylko złe strony, „skrzywdzili nas", potępiamy ich w ogóle, ganimy, przeciwstawiamy nasz dorobek itp). Między tymi dwoma skrajnymi stanowiskami jest oczywiście cały wachlarz pośrednich. Ale u podstawy ich wszystkich, mniej lub więcej świadomie, tkwi poczucie jakiegoś braku, niepewności, niższości. Jakąż olbrzymią ulgą uczuciową jest wówczas dla każdego uzyskanie wiadomości czy argumentu, wykraczającego poza osobiste spostrzeżenia z życia Polski przedwojennej, a pozwalającego odrodzić się czy też wzmocnić przekonaniu, żeśmy jednak sroce spod ogona nie wypadli, że nie jesteśmy pod tym czy innym względem gorsi od naszego otoczenia, a pod niejednym nawet wyżej od niego stoimy. To jest właśnie potrzeba serca i historia może ją zaspokoić.

Jest jeszcze i druga potrzeba. Żyjemy na obczyźnie na stacjach przejściowych. Myślą sięgamy w przyszłość i staramy się rozwiązać dręczącą zagadkę: jak się potoczą dalej wypadki, co będzie dalej, i wreszcie: kiedy? Pilnie obserwujemy to, co się dzieje na świecie, i staramy się wyciągnąć wnioski. Ale przy tym rozumowaniu chcielibyśmy mieć jeszcze jakąś pomoc dodatkową: wiedzieć, jak to było w przeszłości. Ludzie, którzy nie rozporządzają nawet minimum wiedzy historycznej i nie potrafią myśleć kategoriami historycznymi, mają jednak najczęściej pewną określoną (negatywną lub pozytywną) postawę wobec przeszłości. To, co uczeni mądrze ujmują w takich sformułowaniach, jak: „historia jest mistrzynią życia" albo „historia czyni człowieka mądrzejszym", albo „przeszłość żyje w teraźniejszości", lub „jedyną rzeczą, której można się nauczyć z historii, jest to, że nikt niczego się z historii nie uczy", — to wszystko jest w mgławicowej co prawda i niezbyt uświadomionej postaci w każdym z nas. Niezależnie zupełnie od tego, jaką rolę przypisujemy historii w stosunku do teraźniejszości, zawsze mamy wobec niej postawę szacunku, a nie lekceważenia. Uczuciowo czujemy się lepiej, gdy dla naszych rozważań i... przewidywań uda się nam znaleźć dodatkowe elementy historyczne.

Nie będę rozciągał tych uwag. Myślę, że rola historii w zaspokajaniu potrzeb uczuciowych zarysowuje się dość wyraźnie. Dlatego jednak, aby mieć czyste sumienie pod względem naukowym, pragnę zaznaczyć już teraz (aczkolwiek obszerniej mówić o tym będę później), że takie postawienie sprawy nie ma i nie może mieć nic wspólnego z fałszowaniem historii dla celów doraźnych, choćby nawet bardzo ważnych. Wszelką prawdą, a więc i historyczną, bardziej pokrzepimy serca — w uczciwym rozumieniu tego zwrotu — niż fałszem i naciąganiem.

AKADEMIE I OBRAZKI

Mógłby ktoś powiedzieć, że właściwie wybijam otwarte drzwi, gdyż przecież tego typu praca w świetlicach jest prowadzona, co najlepiej widać w zewnętrznym urządzeniu niejednej ze świetlic, w planie uroczystości, rocznic, wywieszonym kalendarzyku historycznym itp.

Aczkolwiek nie chciałbym w tej chwili uprawiać łatwej i ogólnikowej krytyki, to jednak nie mogę się powstrzymać od poszukania przyczyn, dlaczego stosowane zazwyczaj środki oddziaływania historycznego w pracy świetlicowej nie dają na ogół zamierzonych rezultatów. Przecież wysiłek, włożony w udekorowanie świetlicy motywami historycznymi, czy też w urządzenie uroczystości czy przedstawienia rocznicowego, jest często bardzo duży, a rezultaty... niewspółmiernie małe. Akademie, uroczystości rocznicowe, wieczory historyczne itp., — trzeba to przyznać otwarcie, — nie cieszą się zbyt wielką popularnością. Część ludzi, ale tylko część, przychodzi, słucha, czasami nawet część tej części bierze udział w organizowaniu, — ale ludzie wychodzą jakoś niezaspokojeni. Na sali wiszą piękne dekoracje, z trudem zdobyte czy zrobione,a ludzie przechodzą koło nich obojętnie, jak koło zwykłego sprzętu. Nie patrzą na nie, a jeśli patrzą, to nie widzą, a jeśli nawet widzą, to nie przyglądają się i nie zastanawiają nad nimi. Dla ogółu są to, mówiąc żargonem warszawskim, „lanszafta historyczne".

Wydaje mi się, że ten brak zainteresowania i niedosytu (które leżą u podstawy uwag krytycznych i niezadowolenia) wynika z tego, że treść i sposób oddziaływania tych elementów nie trafia akurat w to, co ludzi w danym momencie zajmuje. Ludzi interesuje teraźniejszość i do niej chcieliby podciągnąć przeszłość, a nie odwrotnie. Że dzisiaj właśnie jest taka czy inna setna czy dwóchsetna rocznica jakiegoś faktu, to, powiedzmy sobie otwarcie, mało kogo interesuje. Toteż i obchód, z tym faktem związany, spotka się z takim samym przyjęciem. Interesuje natomiast ludzi bardzo to, co dzieje się dziś, teraz, i wieczór, takiemu właśnie zagadnieniu poświęcony, na pewno ludzi pociągnie. A im bardziej teraźniejszość podmurujemy przeszłością, — tym lepiej. Przeszłość jest interesująca poprzez pryzmat teraźniejszości. Gdy z tego punktu widzenia spojrzymy na zużytkowane w pracy świetlicowej elementy historyczne (dekoracje, rocznice, wieczory, lektura itp.), to ich wartość, zwłaszcza wychowawcza, ukaże się w trochę innym świetle. Są one nieoddziaływujące, bierne, obojętne, a są takie dlatego, że wypływają z innych założeń, bardziej intelektualnych, że chcą dać wiedzę, zaczerpniętą z pewnego całokształtu, niezależnego od życia aktualnego.

Sytuację trzeba odwrócić. Gdybym chciał bardzo radykalnie postawić sprawę, to bym powiedział: należy wyrzucić kalendarzyk historyczny z prac świetlicowych. Jakaż bowiem z niego korzyść? Kalendarzyk historyczny jako podstawa planu pracy jest sztucznym tworem, stawiającym na jednej płaszczyźnie rzeczy, które działy się w różnych epokach. Oczywiście nie jest tu winien sam kalendarzyk, tylko sposób jego użycia. Nawet z punktu widzenia mniej lub więcej systematycznego nauczania trzymanie się kolejnych rocznic (co przypada w danym miesiącu?) powoduje tylko zamieszanie w umysłach słuchaczy i bywalców świetlicowych. Jeśli uczniowie w szkole, a więc przy nauce długiej i systematycznej, bardzo często układają fakty w takim porządku chronologicznym, w jakim się ich uczyli (a więc np. najpierw

był Mickiewicz, Słowacki, Mickiewicz, a potem Fredro), to cóż mówić o tej kaszy, jaka powstanie w umyśle uczestnika prac świetlicowych, który w styczniu był na jednej uroczystości historycznej, w lutym na innej, ale odnoszącej się do faktu o 200-300 lat wcześniejszego, a w marcu — do faktu o 200-300 lat późniejszego. Kalendarzyk historyczny nie może być podstawą planu pracy świetlicowej w dziedzinie historii.

Aby zapobiec ewentualnemu nieporozumieniu, zaznaczam, że uwagi krytyczne nie odnoszą się do tych niewielu uroczystości specjalnych, których charakter jest ściśle związany z datą (3 Maja, 11 Listopada). One odpowiadają pewnym wyraźnym potrzebom; zastrzeżenia mogą się odnosić do sposobu organizowania niektórych z tych imprez.

NA POZIOMIE BOHATERÓW WIECHA

Pośrednio dotknąłem już bardzo ważnego punktu, a mianowicie poziomu wiedzy i wykształcenia historycznego uczestników prac świetlicowych. Trudno tę rzecz przedstawić w formie ogólnej, gdyż brak nam jakichkolwiek danych, ale sądzę, że nie będę daleki od prawdy, jeśli wobec większości zastosuję porównanie z bohaterami felietonów Wiecha. Myślę oczywiście o jego „historycznych" obrazkach, takich, jak np. „Jak Kiliński uszył buty Moskalom", w których osoba, występująca w roli „korektora" błędów historycznych swej rozmówczyni, łączy w cudowny sposób Kilińskiego z Paszkiewiczem mostem Kierbedzia itd. (Gdybym chciał być złośliwy, to mógłbym powiedzieć, że to są rezultaty planu pracy, opartego na kalendarzyku historycznym.

Pomieszanie faktów i pojęć, rzutowanie całej przeszłości na jedną płaszczyznę, brak znajomości elementarnych faktów — oto pospolite zjawiska. Może niezawsze występować one będą tak jaskrawo, jak w przykładach felietonowych, może czasami w ogóle się nie ujawnią; niemniej jednak każdy z kierowniczych pracowników świetlicowych musi wiedzieć, że ma do czynienia raczej z ugorem, czy nawet z puszczą dziewiczą, a nie z uprawnym polem czy ogrodem.

Ten moment warto podkreślić dlatego, że trzeba do niego dostosować rozsądnie opracowania realizacyjne poszczególnych poczynań. Gdy rozpoczniemy pracę na zbyt wysokim poziomie — nie znajdziemy wspólnego języka ze słuchaczami.

KTO ?

Swoje wstępne uwagi pragnę zakończyć krótkim stwierdzeniem: nie trzeba być fachowym historykiem, aby wprzęgnąć w sposób skuteczny historię do służby w pracy świetliczarskiej. Powiem więcej: fachowość, naukowość, zbyt duża wiedza historyczna mogą raczej przeszkadzać. Najlepiej tę pracę wykonać może człowiek, który, posiadając niewielki, ale niezbędny zapas wiedzy historycznej i pewne wyrobienie w myśleniu historycznym oraz lubiąc i rozumiejąc historię, zechce swe zamiłowania przekazać innym.

MARIA DANILEWICZOWA

JAK „ODMŁODZIĆ" BIBLIOTEKĘ

W bibliotekach angielskich obowiązywała przed rokiem 1939 zasada drastycznego odmładzania księgozbioru. Biblioteki publiczne odrzucały co roku, podczas letniej kontroli stanu posiadania, wszystkie egzemplarze książek zaczytanych, brudnych, zniszczonych, rozlatujących się itp. W przypadkach wątpliwych bibliotekarz stawiał sobie pytanie: „Czy chciałbym tak wyglądającą książkę zabrać ze sobą do domu?" — i jeśli odpowiedź brzmiała przecząco, rzucał dalszą ofiarę na stos książek, skazanych na zagładę. Los książek-weteranów dzieliły nadto: przestarzałe wydania podręczników, dzieła naukowe, nie uwzględniające najnowszych postępów wiedzy, — wreszcie książki, które nie potrafiły zdobyć sobie czytelników w ciągu ostatnich pięciu lat.

Kierownicy akcji bibliotecznej w Anglii, którym wskazówki co do „pielenia" księgozbiorów podyktowało wieloletnie doświadczenie i znajomość psychologii czytelników, doszli zgodnie do przekonania, że nie ilość tomów, śpiących na półkach bibliotecznych, ale ich wartość użytkowa stanowią o jakości biblioteki.

Bibliotekarz nowoczesny, obsługujący bibliotekę publiczną, troszczy się o to przede wszystkim, by książki „pracowały", krążąc z rąk do rąk. Uważa on, że książka, której nalepka ozdobiona jest kilkudziesięciu stempelkami datownika, spełniła swoje zadanie i dożyła kresu pracowitego żywota. Odrzuca ją z takim uczuciem, z jakim np. rozstajemy się z wygodnymi butami, w których przedarła się już nie tylko zelówka, ale i wierzch. Na miejsce jej kupuje nową. I tak w kółko.

Przy niedostatecznych zasobach książkowych i niedostatkach finansowych biblioteki polskie w W. Brytanii marzyć tylko mogą o chwili, gdy stać je będzie na luksus racjonalnego „pielenia" księgozbiorów. „Ogniem i mieczem" ma pozawijane rogi, w „Potopie" jakiś zapamiętały miłośnik Sienkiewicza powypisywał na marginesach entuzjatyczne komentarze, a „Pan Wołodyjowski" — mniejszego, niż tamte, formatu (jak na „małego rycerza" przystało) ma oderwaną okładkę. Obraz nędzy i rozpaczy, — a jednocześnie nadal źródło emocyj czytelniczych, radość na długie godziny, lekcja pięknej polszczyzny itd. itd. Nie wyrzucimy!

Patrząc na półkę biblioteczną, widzimy na niej jednak — nawet gdy biblioteczka jest maleńka — obok książek zaczytanych — inne, dziwnie młode,

czasem nierozcięte. Wytrawny czytelnik nie zagląda do nich w ogóle, — sam fakt, że są takie czyste i świeże, przemawia na ich niekorzyść. Dygasiński, Łoziński, Berent — nazwiska te nic mu nie mówią; odkłada więc książkę na miejsce i prosi bibliotekarza o „coś nowego" Sienkiewicza lub Żeromskiego.

Trudno nieraz pojąć, co jest źródłem uprzedzeń czytelniczych. Jest ich jednak wiele: nieznane brzmienie nazwiska autora, — tytuł, który się z jakiegoś powodu nie podoba, format książki, zbyt drobny druk itp. itp. Uprzedzenia te pokonuje się z trudem, — ale trud ten podjąć warto. Nie będziemy usuwali przecież z biblioteki oszczędnościowych wydawnictw wojennych, dlatego tylko, że drukowane były na złym papierze albo drukiem, który dla niektórych czytelników jest zbyt drobny.

Po dokładnej rewizji księgozbioru dochodzimy do wniosku, że nic właściwie usunąć nie możemy, poza kilkoma wydawnictwami propagandowymi sprzed ośmiu czy dziewięciu lat oraz książkami, w których brak po kilkadziesiąt stron. W „Faraonie" np. brak tylko strony ostatniej i warto ją przepisać z innego egzemplarza i dolepić na końcu.

Pewnego dnia uświadamiamy sobie jednak, że mimo tych zabiegów kosmetycznych, mimo podlepiania okładek, obłożenia książek kolorowym papierem itp. — czytelnicy nasi mają stuprocentową rację, gdy skarżą się, że księgozbiór jest wyczytany i że w bibliotece „nic nie ma". Zaczynamy się kręcić — i oto udało się nam wydostać ze składek, z jakiejś imprezy, od anonimowego ofiarodawcy, z kar — czy „psim swędem" funtów, powiedzmy, dziesięć, za które kupić mamy pewną ilość książek nowych, by odmłodzić bibliotekę. Zaczynamy przeto wertować katalogi księgarni polskich — albo, jeśli uda się nam być tam osobiście, przeglądamy na miejscu egzemplarze. Dziesięć funtów okazuje się sumą za małą na to, by zmienić radykalnie sytuację; chcemy kupić dużo, jak można najwięcej — i ostatecznie wydajemy wszystko, co do grosza. Dopiero u siebie, po powrocie, uświadamiamy sobie, że nie zarezerwowaliśmy pieniędzy na oprawę książek świeżo zakupionych — i że na razie trzeba je będzie puścić w ruch tak, jak są, prosząc czytelników o ostrożne obchodzenie się z egzemplarzami. Czy potrzebuję dodawać, że rachuby takie zawodzą prawie bez wyjątku i że życie książki bez oprawy skraca się o 3/4? „Książki nieoprawne umierają młodo", powiedzieć można, trawestując znane przysłowie.

Jako ludzie roztropni i przewidujący rezerwujemy przeto sumę, zabezpieczającą oprawę nowych nabytków, i decydujemy się na pewną określoną ilość książek. Co kieruje, a raczej co kierować powinno ich wyborem? Przede wszystkim pamiętać powinniśmy o obowiązku popierania produkcji piśmienniczej emigracji i dlatego na naszej liście zakupów zabraknąć nie powinno ani książki gen. Andersa „Bez ostatniego rozdziału", ani „Na nieludzkiej ziemi" Józefa Czapskiego, ani „Książki o Kołymie" Anatola Krakowieckiego. (Mamy już „Między młotem a sierpem" Wacława Grubińskiego). Chcielibyśmy kupić kilka tomów beletrystyki emigracyjnej — cóż, kiedy pustka głucha na tym odcinku: doskonały tom nowel Tadeusza Nowakowskiego p.t. „Szopa za jaśminami" jest jedynym bodaj wyjątkiem z reguły niewydawania prozy powieściowej, która to reguła przyświecać się zdaje naszym wydawcom londyńskim.

Chcąc nie chcąc zwracamy się ku półkom z wydawnictwami krajowymi. Z powodzi nieznanych nazwisk i niezliczonych przekładów z rosyjskiego wyławiamy, jak perły, zatopione w głębi morza: „Dwa bieguny" Elizy Orzeszkowej, „Dziecię Starego Miasta" Kraszewskiego, „Uskoki" Jeża i „Ludzi bezdomnych" Żeromskiego.

Z książek współczesnych autorów krajowych rujnujemy się na „Bolesława Chrobrego" Gołubiewa i „Sagę o Jarlu Broniszu" W. Grabskiego, wierni upodobaniom historycznym większości czytelników. Spełniając dalsze ich prośby, szukamy przekładów dobrych powieści pisarzy obcych i po długim namyśle decydujemy się na „Jaszczur" Balzac'a, „Klucze królestwa" Cronin'a, „Księgę z San Michele" Munthe'go, „Roczniak" Rawlings'a „„Wyspę skarbów" Stevensona i F. Werfla: „Pieśń o Bernadecie".

W ostatniej chwili spostrzegamy notatkę o nowym wydawnictwie emigracyjnym: jest nim „Książę Adam" Kukiela. Kupujemy — a z ulotki, włożonej do tej znakomitej książeczki, rzucającej snop światła na całokształt spraw polskich w pierwszej połowie XIX w., — dowiadujemy się, że lada dzień ukaże się zarys dziejów Armii Krajowej. Od dzieła tego zaczniemy następną listę książek, które pomogą nam odmłodzić bibliotekę.

J. KICKI

O porozumienie międzybiblioteczne w celach samoobrony

Pośród licznych trosk i kłopotów, które trapią polskie biblioteki publiczne na emigracji, musimy — niestety — zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo, jakie im grozi ze strony samych czytelników. Wyjaśnijmy od razu: złych czytelników. Mamy na myśli osoby, które po krótszym lub dłuższym okresie czasu wypożyczania książek w pewnym momencie przestają przychodzić do biblioteki, a książek nie zwracają. Kierowane do nich upomnienia pozostają bez echa; nie pomagają też prośby i interwencje na drodze prywatnej, które bibliotekarz ma nieraz sposobność podjąć.

Zdarzają się jednak wypadki, że czytelnik taki po kilku miesiącach, roku czy nawet później najniespodziewaniej w świecie daje znać o sobie. Jest niemal regułą, że nie przychodzi wówczas sam, lecz przysyła książki pocztą, dołączając też nieraz list.

Listy te są dość charakterystyczne. Zaczynają się słowami przeprosin, po czym następuje, lub nie, krótkie usprawiedliwie-

nie się (niemal zawsze „winien" jest kolega lub przyjaciel, który książek nie zwrócił), kończą się zaś prośbą autora listu o przysłanie zawiadomienia, ile wynoszą jego zaległości wobec biblioteki, oraz solennym zapewnieniem natychmiastowego ich uregulowania. Licząc się z trudnymi na ogół warunkami materialnymi uchodztwa, biblioteki nie obliczają wówczas dokładnie całej przypadającej im należności, lecz redukują ją do kilku symbolicznych niemal szylingów i wyrażają jednocześnie zgodę na spłaty ratalne. Na tym jednak sprawa prawie zawsze się kończy, za wyjątkowy bowiem można uznać przypadek, gdy taka należność istotnie zostanie uregulowana.

O ile opisana powyżej kategoria abonentów jest groźną zawadą w sprawnym obiegu książek wśród czytelników i w wysokim stopniu utrudnia normalną pracę biblioteczną, o tyle prawdziwym nieszczęściem bibliotek są ci, którzy w ogóle książek nie zwracają. Osoby te są głuche na wszelkie upomnienia, przepadają jak kamień w wodzie, a wraz z nimi z półek bibliotecznych na zawsze znikają nieraz książki o wyjątkowej wartości literackiej i cieszące się dużą poczytnością. Nie mówiąc o stracie materialnej, jaką w takim wypadku ponosi biblioteka, szczególną uwagę zwraca na siebie strona moralna i społeczna tego rodzaju czytelników, które występują tym wyraźniej na tle zastoju wydawniczego książki polskiej na emigracji i trudności, z jakimi borykają się polskie biblioteki w uzupełnianiu swych księgozbiorów.

Niestety, jak dotąd, ci „kłusownicy" biblioteczni pozostają bezkarni. Nie przepada też im żadna tzw. gwarancja czy kaucja pieniężna, gdyż biblioteki polskie, wzorem angielskich, nie pobierają ich od swych czytelników.

Nie znam również wypadku, by któraś z bibliotek polskich dochodziła swych strat z powodu niezwrócenia przez czytelnika książki na drodze sądowej. Wiadomo zaś, że trybunały angielskie traktują tego rodzaju sprawy jako zwykłą kradzież i ferują wyroki bardzo surowe, zasądzając całkowite powództwo cywilne na rzecz biblioteki, a pozwanego obciążają kosztami sądowymi. Tę powściągliwość bibliotek w sądowym dochodzeniu swych pretensji tłumaczyć sobie jedynie należy zrozumiałą niechęcią zajmowania wokandy sądów angielskich sprawami polskimi, które powinniśmy sami rozwiązywać.

Nie dosyć jednak na tym. Sytuacja bowiem wygląda paradoksalnie w większych ośrodkach i skupieniach uchodźczych, zwłaszcza w Londynie, gdzie jest więcej, niż jedna polska biblioteka publiczna. W tych miejscowościach osoby, które wypożyczonych książek nie zwróciły jednej bibliotece, nie narażając się na najmniejsze nawet przykrości, z całym spokojem mogą iść do drugiej biblioteki i tam bez przeszkód abonować książki. Po pewnym czasie z całą premedytacją mogą również i tej bibliotece nie zwrócić książek i z kolei przenieść się do biblioteki następnej.

Temu smutnemu i niebezpiecznemu stanowi rzeczy należy zapobiec. Nie będzie to chyba ani trudne, ani zbyt skomplikowane. Trzeba jedynie współdziałania i porozumienia międzybibliotecznego, które swym zasięgiem w zasadzie powinno objąć wszystkie nasze biblioteki w Zjednoczonym Królestwie.

Porozumienie to polegałoby na wzajemnej wymianie spisu osób, które:

a) książek nie zwróciły,
b) nie uregulowały należności za zgubione książki,
c) nie uregulowały należności z tytułu abonamentu lub też opłaty za przetrzymanie książek ponad regulaminowy termin.

Aby uniknąć rozległej korespondencji między bibliotekami, możnaby wyłonić organ wykonawczy, którego głównym zadaniem byłoby gromadzenie nadsyłanych periodycznie przez biblioteki wspomnianych spisów oraz układanie jednej listy wspólnej. Listę tę, wciąż aktualizowaną, należałoby ogłaszać w specjalnym komunikacie, albo też w jednym z periodyków polskich.

Otrzymawszy taką listę, każda z bibliotek dokładnie sprawdzałaby, czy nie wymienia ona osoby, która obecnie znajduje się w gronie jej czytelników. W przypadku znalezienia czyjegoś nazwiska na liście bibliotekarz musiałby wziąć na siebie obowiązek dyskretnego poinformowania czytelnika, że z przykrością zmuszony jest mu odmówić dalszego wypożyczania książek, — do czasu przedstawienia przezeń zaświadczenia, że uregulował wszystkie zobowiązania wobec biblioteki, której uprzednio był czytelnikiem.

Poza tym odpis wspomnianej listy, a zwłaszcza osób, które książek w ogóle nie zwróciły, powinien być wywieszony na najbardziej widocznym miejscu we wszystkich lokalach bibliotecznych.

Wspomnieliśmy, że polskie biblioteki publiczne z reguły niemal nie pobierają od swych czytelników żadnej kaucji pieniężnej. Nie występuję przeciwko temu uświęconemu już i słusznemu z wielu względów zwyczajowi, wydaje mi się jednak, że biblioteki powinny powszechnie wymagać od nowoprzyjmowanych czytelników podpisania zobowiązania czy deklaracji (w języku polskim i angielskim) o charakterze dokumentu prawnego. Dla przykładu podajemy poniżej tekst takiego zobowiązania, przyjętego przez Komitet Oświaty, a opracowanego przez p, M. Stopę.

....
Mr. Mrs. Miss—Reader's Name—
Nazwisko

Readers' No. Nr. Czytelnika ....
....National Registr. Identity Card No. ....
Occupation — Zawód
Certificate of Registr. No. ....
....
Address — Adres ....

OBLIGATION

I hereby undertake to return books borrowed from the...... .... Library on or before such dates as may be specified by the Librarian and I shall be held responsible financially for any books damaged or lost.

ZOBOWIĄZANIE

Niniejszym zobowiązuję się do zwrotu wypożyczonych książek w terminie określonym przez bibliotekarza oraz przyjmuję materialną odpowiedzialność za przetrzymywanie książek ponad ustalony termin, zniszczenie lub zagubienie książek przeze mnie pożyczonych w miejscowej bibliotece.

Date — Data: ....
(Signature — Podpis)

Wypełnienie poszczególnych rubryk tego zobowiązania nie nastręcza wątpliwości, nie będziemy więc też ich omawiać. Zwracamy jednak specjalną uwagę na konieczność przypilnowania przez bibliotekarza, aby czytelnik dokładnie wypełnił rubryki: „Certificate of Registration No." oraz „National Registration

Identity Card No.". W poszczególnym bowiem wypadku jedynie na ich podstawie będziemy mogli ustalić tożsamość czytelnika. Na dobrą sprawę, Janów Kowalskich, Stanisławów Wiśniewskich czy Tadeuszów Wróblewskich może być kilku, adresy zaś ich mogły ulegać zmianom, każdy jednak z nich ma jeden, odmienny i stały numer rejestracyjny, ustalony przez władze angielskie.

W ogłaszanej liście osób, do których biblioteki polskie roszczą sobie pretensje z takiego czy innego tytułu, powinny się znajdować obie wspomniane powyżej rubryki, dzięki temu bowiem tożsamość czytelników nie będzie budziła wątpliwości.

* * *

Nawołując w naszych rozważaniach biblioteki polskie do samoobrony przed złymi czytelnikami i kreśląc w ogólnych zarysach jej projekt, daleki jestem od tego, by wywołać wrażenie, że lista tych osób jest długa. Przeciwnie, — znajdą się na niej nieliczne jednostki. Z całym uznaniem bowiem godzi się podkreślić, że zwiększające się stale zastępy czytelników w polskich bibliotekach publicznych z całą skrupulatnością przestrzegają regulaminów bibliotecznych.

W zakończeniu niech mi będzie wolno wyrazić przekonanie, że jeśli owocem działalności projektowanego przeze mnie porozumienia międzybibliotecznego będzie odzyskanie choćby jednej tylko wartościowej książki dla każdej biblioteki oraz zahamowanie dotychczasowej bezkarności złych czytelników, — wówczas spełni ono swe zadanie.

TADEUSZ NOWAKOWSKI

Z notatnika społecznego bywalca

Z wielką przyjemnością przeczytałem świetny artykuł p. Galińskiego o „Wyzysku społecznym". Jako adept czarnej magii spraw społecznych, homo novus wśród zawodowych organizatorów, zagubione dziecię w krainie przecudnego bełkotu i frazesu, zapisałem w swoim notesiku następujące spostrzeżenia, które ośmielam się przekazać redakcji „Poradnika".

* * *

„Piątek, dnia 12. b.m., — godzina 15-ta. Posiedzenie Komisji Połączeniowej dwóch niezwykle zasłużonych organizacji społecznych. Przybywają mężowie znani i cenieni. Im znaczniejszy, z tym większym opóźnieniem się zjawia. Wszyscy są strasznie zalatani, bo właśnie przybyli z innego posiedzenia, albo spieszą się na drugie. W połowie posiedzenia p. X przeprasza zebranych, ale z powodu zebrania zarządu swojej organizacji, któremu sam przewodniczy, niestety, już musi wyjść. (Ogólna żałość). P.Y. referuje „całokształt zagadnienia", używając następujących zwrotów: „należałoby rozpracować w duchu powziętych wytycznych"; co minutę pada słowo: „teren". Pan Y. nie mówi po prostu: „we Francji", ale „na terenie Francji". W dyskusji, która ciągnie się jak guma do żucia, okazuje się, że wszyscy są zgodni w sprawach wagi zasadniczej, natomiast sprawy mniejszego formatu budzą „szereg wątpliwości natury mniej istotnej". Pan V. każde zdanie zaczyna od słowa „niewątpliwie". Pan S. uważa, że Komisja powinna zwrócić się do „terenów" z prośbą o wypełnienie kwestionariusza. „Nie mamy elementów, — jęknął na zakończenie, chcąc się połączyć, powinniśmy wczuć się w przemiany, jakie zaszły w całokształcie"...

Wobec tego zebrani dochodzą do wniosku, że należy powołać do życia komisję, która zajmie się opracowaniem projektu odpowiedniego kwestionariusza. „I przyjdzie z gotowym wnioskiem" — mówi przewodniczący. (Aplauz). Panowie wstają, kłaniają się, patrzą na zegarki i w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku ściskają sobie dłonie.

* * *

„Piątek, zebranie u b. żołnierzy. Zaraz na wstępie zapowiadają nam, że rzecz nie potrwa długo. „Należy tylko uzgodnić kilka drobnych kwestii". (Jeśli tak, to po co wzywano nas z drugiego końca metropolii?) „Nie będziemy dłużej czekali, — mówią organizatorzy zebrania, — wszyscy nieobecni usprawiedliwili swoją nieobecność, a kolega D. spóźni się o pół godziny".

„W paru słowach" przewodniczący wyjaśnia, o co chodzi. „Musimy urządzić obchód. Zbliża się piąta (!) rocznica naszej organizacji. Musimy nadać jej rozgłos. Apelujemy. Prosimy. Mamy nadzieję, że nam się uda, i dlatego właśnie zwołaliśmy Panów".

Okazuje się, że Zarząd o wszystkim pomyślał, wszystko już przygotował, ale pragnąłby „nawiązać kontakt z jak najszerszymi kręgami społeczeństwa". (Widuję tych panów co drugi tydzień. Po jakiego licha „mam z nimi nawiązywać kontakt?" Od kiedy jestem „najszerszym kręgiem społeczeństwa?").

„Czy są jakieś pytania?" — pyta przewodniczący. Długa cisza. Wchodzi kol. D. Przeprasza za spóźnienie. Rad by wiedzieć, o czym mówiono do tej pory. Wobec czego „w kilku słowach" prezes zaczyna przemówienie na odwyrtkę od początku.

Walcząc z tremą, pytam, czy piąta rocznica to ważna rzecz? Czy nie szkoda pieniędzy? Uspokajają mnie, że rocznica zasługuje na uwagę i że zapadła już uchwała w tej sprawie na poprzednim zebraniu. „Nie będziemy już wracali do tej sprawy" — mówi łagodnie uśmiechnięty prezes — „jedźmy dalej"..

— „Organizacja nasza już wynajęła Albert Hall. Za 210 funtów" — dorzuca referent. — A teraz należałoby się zastanowić nad spopularyzowaniem imprezy. Czy koledzy podjęliby się napisania kilku artykułów na ten temat?"

Wchodzi p. M. Przeprasza za spóźnienie. „Właśnie mówimy o sprawie propagandy" — wyjaśnia prezes. I zaczyna całą rzecz od początku...

Bije pół do jedenastej. Kamienna dżungla metropolii już śpi, a my radzimy. Nawiązujemy kontakt. Uświadamiamy sobie potrzebę. A niech to wszystko...

* * *

Sobota, 7-ma wieczór, w lokalu kobiet. Zorganizowane kobiety zamierzają urządzić „imprezę". Siedzimy w klubowych fotelach i przytakujemy sobie głowami: że rzeczywiście impreza jest koniecznością życiową, że bez imprezy na cele zorganizowanych społecznie kobiet rozdziobią nas kruki i wrony, że tylko dochodowa impreza odbuduje nasze samopoczucie.

Przewodniczącej miód leje się z ust. Mówi o gehennie kobiet w czasie wojny, o doniosłej roli kobiety jako takiej, o palących potrzebach chwili. Trzepoce rzęsami, wzrusza się, głos jej się łamie przy słowie „Emilia Plater". Komitet imprezy chciałby nadać imprezie charakter manifestacji, protestu, akcent braterstwa kobiet polskich i brytyjskich; „pragnęłybyśmy ukazać problem w całej dramatyczności". I dlatego właśnie my, kobiety polskie, które zostałyśmy tutaj, na obczyźnie, sądzimy, że kto ma polskie serce w piersi i nie zatracił poczucia plemiennej przynależności, poprze, wpłaci, uiści, Postal Orderem albo przekreślonym czekiem. Konto podano na odwrocie.

Wstaje druga pani i mówi cicho, jakby pozagrobowo. Powtarza przemówienie poprzedniczki, ale ponieważ należy do natur słabych, osaczonych niepokojem, budzą się w niej wątpliwości. „Czy podołamy? — rzuca melancholijne pytanie w bezkres.

— „Ależ pani Mario, to defetyzm!" — woła ktoś przez woalkę. —„Nie możemy się przerażać przeciwnościami"...

Salkę ogarnia entuzjazm. Prezeska kuje żelazo, póki gorące. Podejrzewam, że elegijna pani odegrała swoją rolę świadomie, dla wywołania moralnego buntu. Oto miara tego, co potrafi inżynieria i reżyseria pracy społecznej. A może się mylę? W tym momencie rzęsy przewodniczącej trzepoczą na nowo, jak skrzydła wiosennego motyla, uwiązanego w płatkach róży, i mówi słodko a kusząco, jak arfa eolska: „Czy napisałby pan coś wesołego? Dla kobiet?"

— „Nie" — mówię cierpko, wyładowując cały zapas od godziny tłumionego antyfeminizmu — „nie napiszę..."

Konsternacja. Jak to? Dla kobiet? Na tak szlachetny cel? Dlaczego?

— „Nie mam czasu".

Wesołość. Najlepszy żart sezonu. Ha, ha, ktoś może nie mieć czasu. Dobre sobie!...

Obrady toczą się dalej. W czasie dyskusji wychodzi na jaw, że przed zebraniem nic nie przygotowano, że dopiero obecne posiedzenie „miało się zastanowić". Więc zastanawiamy się do godziny 9 minut 30. Nad afiszami, nad ogłoszeniami do gazety, nad tekstem zaproszeń, nad tym, czy w sobotę, czy w niedzielę, czy z bufetem czy z kiermaszem, czy z orkiestrą czy tylko z fortepianem. Zdania, jak zwykle w takich sprawach, są podzielone. Panie powołują się na swoje doświadczenie sprzed pierwszej i drugiej wojny światowej. Wszyscy mówią naraz i bezładnie. Już nie porusza się wielkich tematów, ale mówi się o nowej rewii Hemara i kapeluszach p. Tamary Kanarek.

Punkt dziesiąta rozchodzimy się, uradowani, szczęśliwi. Znowu posunęliśmy ideę kobiecości o kilka zrębów w górę. Znowu dołożyliśmy cegiełkę do budowy doskonałości spraw ludzkich. Zniknąwszy za rogiem budynku, zdejmuję kapelusz z głowy i patrząc w zamglone dżdżyste niebo londyńskie, pobożnie podnoszę dwa palce w górę: „Już nigdy nie zobaczą mnie walczące Polki na swoim zebraniu, już nigdy. Amen! Amen! Amen!"

* * *

Niedziela, godzina druga po południu. Od dawna oczekiwany Walny Zjazd Delegatów doszedł do skutku. Siedzimy w obłoku dymu; jest tak ciemno, że jeden drugiego nie widzi. Przez godzinę bez przerwy trwa wzajemne zapewnianie się w kółeczko, że Zjazd niniejszy posiada „szczególnie doniosłe znaczenie". Co chwilę wchodzi jakiś jegomość na estradę i z góry cieszy się z „owocnych wyników". Ktoś z uroczystą miną twierdzi, że „społeczeństwo do obrad dzisiejszych przywiązuje olbrzymie znaczenie". Sprawozdanie ustępującego zarządu roi się od frazesów. Mówiąc otwarcie, zarząd od ostatniego zebrania nie ruszył palcem w bucie. Prezes wygłasza hymn zręcznie zawoalowanej autoreklamy. Mówi o tym, w jak strasznym położeniu znajdowało się miejscowe społeczeństwo do chwili objęcia przez niego prezesury; „piętrzyły się przeszkody, zdawało się, nie do przebycia, trzeba było pokonać kryzys zaufania"... Ale Opatrzność, widać specjalnie łaskawa dla prezesów, dopomogła mu, i oto dzisiaj — organizacja „staje u szczytu swoich możliwości", ale niestety, jest jedna plama na słońcu, a tą plamą jest brak funduszów. Z kolei prezes mówi o cierniach piastowania godności. Zręcznie przerzuca wszystkie własne niedociągnięcia na barki „martwych dusz", na marazm, na apatię itd. Ale nie traci nadziei, że w przyszłej kadencji będzie lepiej. „Zebraliśmy wiele cennych doświadczeń" — powiada. — Mam nadzieję, że przyszły zarząd w oparciu o te „cenne doświadczenia" nie będzie szczędzić wysiłków dla dobra organizacji. (Oklaski).

Najmniej czasu poświęca się w toku obrad na zbadanie gospodarki finansowej. Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej brzmi gładko i zajmuje pięć minut. Ogarnia mnie złe przeczucie, że wysoka komisja rewizyjna zebrała się na pięć minut przed zebraniem i na kolanie przewertowała wszystkie kwity, nie badając — co w obecnej sytuacji najważniejsze — c e l o w o ś c i poczynionych wydatków. A potem jakiś nudziarz czyta z kartki tezy „ideowe". Godzinny referat zmierza do tego, aby zachęcić panów delegatów do poczynienia skromnych poprawek w statucie. Poprawek, „które lepiej by oddawały bojowego ducha naszej organizacji." Atmosfera grobowca Agamemnona. Słychać muchy, bzykające na szybach. Dziarski duch wstępuje w zgromadzenie dopiero w momencie przygotowywania „siucht wyborczych". Na korytarzu odbywają się targi, układy koalicyjne, antysanacyjne, antysocjałowe, antyendeckie, etc.

„My damy do zarządu p. S". — wołają parlamentariusze w ubikacji, — „ale nasz człowiek, p. K., musi wejść do biura jako płatna siła". Handelek trwa. Na blade twarze wpełza rumieniec emocji, niemal tak silnej, jaką przeżywają wielbiciele psich wyścigów. Jakaś kruczowłosa pani biega z karteluszkiem nazwisk od delegata do delegata, namawia, zachęca, grozi, gestykuluje. Wtajemniczeni jogowie gry społecznej podają sobie kartki jak uczniowie ściągaczki w czasie lekcji. Dają sobie znaki, jak przy pokerze. Aż wreszcie... zaczyna się... Wybory...

„Łobuzy! — woła jakiś krępy, oburzony gladiator po ogłoszeniu wyników. — Złamali układ! Nielojalność! Ja się wycofuję z pracy społecznej. Dość tej parodii! I to się nazywa demokracja!"

Przewodniczący wychodzi na znak protestu. „Na Boga! Panowie, miejcie na względzie dobro organizacji, dobro Sprawy!"

— „Niech nas pan nie szantażuje ‚dobrem sprawy" — świszczy delegat O. — A co pan M. robił w roku 1923? Ha? Też rozbijał? Wiemy coś o tym".

Paru starych graczy, lisków społecznych, wybiega za oburzonym kolegą. Nie można dopuścić do rozbicia organizacji. Zaczyna się długa dyskusja w klatce schodowej. Gladiator składa ofiarę z prywatny na ołtarzu miłości ojczyzny, daje się przebłagać, wraca. (Oklaski.). Opozycjoniści ściskają sobie dłonie: „Ale cośmy takiemu i takiemu nagadali, tośmy nagadali. Niech wie, co naród o nim myśli".

Prezes dziękuje za wybór. Cieszy się z zaszczytu. Wierzy, że podoła, prosi o zgodę i braterską dłoń. Radość wszelkiego stworzenia. Zebranych ogarnia wzruszenie. Będziem pracowali, jako lwi. Aż do następnego walnego zebrania, pod twoim, o prezesie przewodem. . .

Na tym urywam.

* * *

Notatnik mój wykazuje znacznie więcej zapisków, ale jako karny pracownik społeczny, który powinien dbać o autorytet pracy zespołowej i krzesać ogień zapału w kuźni twórczej pracy, zwracam się do Czytelników niniejszego zeznania z gorącą prośbą osobistą:

— Nie wierzcie w to, co powyżej spisano! W rzeczywistości jest zupełnie inaczej. Nie wierzcie złośliwej karykaturze! Jak kilka drobnych piegów nie dyskwalifikuje pięknej kobiety, podobnie i kilka drobnych usterek nie może nikomu z nas obrzydzić pracy społecznej. Bez społecznej pracy nie ma kołaczy!

OLGA ROESSLER-ŻEROMSKA

Poprzez labirynt zwany teatrem...

Drogę teatru i jego zadania najpiękniej i najwnikliwiej chyba określił Stanisław Wyspiański. Swoje studium o „Hamlecie" zadedykował aktorom, ludziom, którzy przez labirynt, zwany teatrem, ukazują wiekowi jego prawdę i piękno, „szpetotę i występki". Ci ludzie sprawiają, że teatr jest zwierciadłem swego wieku, że przegląda się w nim samo życie — złe czy dobre, szlachetne czy okrutne — i człowiek, wiecznie siebie szukający. Na przestrzeni długich wieków teatru nic z tego, co ludzkie, nie jest sztuce dramatycznej obce. Wie o tym dobrze Szekspir, gdy w niezapomnianej scenie z Hamleta każe zbrodniarzowi zdradzić się swym zachowaniem na widok sztuki teatralnej, w której podobna zbrodnia się rozgrywa. Zna działanie teatru na duszę człowieka starożytny mędrzec Arystoteles, pouczający nas, że tragedia przez litość i grozę może oczyścić nasze dusze, dać ową świętą „katharsis", do której tak tęskni zawsze zabłąkany i wiecznie niepewny człowiek.

Niezawsze życie i teatr idą ręka w rękę. Są epoki, gdy wspaniały, wyprzedzający swą epokę dramat nie mieści się na scenie sobie współczesnej i czeka długie lata na swój teatralny kształt. Czasami mamy przerost teatru nad dramatem, przerost techniki, przerost dekoracji czy inwencji reżyserskiej. Gdzieś w tym wszystkim ginie słowo pisarza lub zniekształcone, odbarwione, z trudnością dociera do słuchacza. A czasami życie i jego problemy wyprzedzają to, co pokazuje nam teatr. Ludzie wychodzą z gmachu teatralnego niezadowoleni, potrząsając głowami. Nikogo już nie obchodzi fikcja poetycka, która się przed naszymi oczami przez kilka godzin rozgrywała. Zerwał się jakoś kontakt między życiem a teatrem; nie widzimy na scenie braci naszych w cierpieniu czy radości. Czasami wielkie zagadnienie życia współczesnego czeka lata na kogoś, kto je dla teatru podejmie. Czasami znajdzie swój pełny wyraz w starej, starej sztuce, w której człowiek współczesny dostrzega nagle siebie.

Kiedyś, w czasie okupacji, w szkole dramatycznej Edmund Wierciński zapytał, jaka, zdaniem naszym, sztuka wydaje nam się najbardziej aktualna. Większość słuchaczy odpowiedziała jednomyślnie: — Antygona. Po wojnie zobaczyłam piękną i głęboką sztukę Jana Anouilh pod tym tytułem. Ale od tej Antygony, współczesnej Antygony, która ma odwagę umrzeć, bo życie w otaczającym ją świecie jest zbyt podłe i straszne, — wolę po stokroć jej starszą o tyle wieków siostrę z tragedii Sofoklesa, której śmierć nie jest aktem rozpaczy, lecz aktem wiary w prawo boskie i prawo miłości, silniejsze nad całą nienawiść świata.

Rola, którą przez długie dziesiątki lat spełniał teatr dla Polaków, pozbawionych bytu państwowego, zbyt jest znana, by o niej pisać. W roku 1939 zniknęły z powierzchni ziemi teatry warszawskie — wszystkie dziwnym, symbolicznym prawie zbiegiem okoliczności zniszczone ręką wroga. Teatr w Polsce zamilkł. Usiłowania grupy aktorskiej, organizującej prywatne, zakonspirowane wieczory dramatyczne, siłą rzeczy obracały się w kręgu bardzo nielicznych widzów.

Jednym z najpiękniejszych pewnie wysiłków teatralnych na obcej ziemi był teatr ludowy im. Wojciecha Bogusławskiego, zorganizowany przez Polską YMCA w brytyjskiej strefie Niemiec. Grupa młodych aktorów, która zbiegła się z obozów koncentracyjnych czy jenieckich pod kierownictwem Leona Schillera, zdołała wysiłkiem pełnym entuzjazmu, niewyżytą przez lat pięć tęsknotą do prawdziwego teatru stworzyć kilka szlachetnych w swej prostocie widowisk, z których zwłaszcza „Gody weselne" i „Kram z piosenkami" pozostaną na długo zarówno w sercach wykonawców, jak i słuchaczy.

Problem teatru polskiego, jego drogi i zadania, jego możliwości egzystencji ukazały się wyraźnie przed oczyma Polaków, którzy wylądowali jako emigranci na wyspach brytyjskich. Nie ulegało kwestii — teatr musiał być. Ale jaki? Jak zorganizować życie teatralne? Jaki mu nadać kierunek? Na jakiego widza liczyć? Jak do niego podejść? Pamiętam, jak na zjeździe ZASP'u w roku 1947 jeden z kolegów wyraźnie starał się sformułować fakt, że przestaliśmy być teatrem żołnierskim i że musimy stać się teatrem emigracyjno-społecznym. Niewiele więcej powiedzieć mogliśmy.

Teatr objazdowy pracujący w najcięższych warunkach, wystawiający sztuki na malutkich scenkach obozowych wśród czterech

brudnych i obdrapanych ścian, gdzie nie mieściła się najbardziej nawet prymitywna dekoracja, coraz bardziej musiał rezygnować ze swych ambicji. Widz, karmiony przez długie lata wojny tandetną rewią, wyprodukowaną przez Ensa, niechętnie widział repertuar, zmuszający choć trochę widownię do myślenia. Względy merkantylne stały się silniejsze, niż względy artystyczne. Część zespołów teatralnych poszła po linii najmniejszego oporu i zaczęła produkować mniej lub więcej szmirowate rewie, demoralizując widza do reszty. Inne zespoły rozbiły się na niewielkie grupy po kilka osób; grały sztuki kameralne, małoobsadowe, nie zwracając często uwagi na artystyczną wartość przedstawienia i literackie walory granej sztuki.

Dziś, zdaje się, ten niewesoły okres teatru polskiego na emigracji dobiega końca. Nie grasują już tandetne rewie w tej ilości, co przed trzema, dwoma laty. Londyn i prowincja może ujrzeć od czasu do czasu dobrą, starannie zagraną sztukę. Konfraternia Artystów, pracując w najcięższych warunkach teatru objazdowego, zdobywa się czasem na duży wysiłek i daje premierę widowiska, które przypomina przedwojenny teatr — oczywiście nie Polski, czy Narodowy, ale dobrą scenę prowincjonalnego, kameralnego teatru. O ambicjach konfraternii świadczy fakt wystawienia fragmentów dzieł Słowackiego, ujętych w syntetyczną formę „Listów do matki". Jakiekolwiek zarzuty natury inscenizacyjnej czy aktorskiej nasuwałyby się krytykom, każdy doceni wysiłek reżysera i aktorów, którzy piękne to widowisko udostępnili polskiej publiczności w setną rocznicę śmierci wielkiego romantycznego poety.

Zaroiło się na scenach i scenkach od utworów, pisanych przez autorów emigracyjnych. Kilka sztuk, jak np. „Sami swoi" Pietrkiewicza, „Słoneczniki" Teodozji Lisiewicz, czy „Spotkanie" Budzyńskiego, wyróżniło się korzystnie wśród innych, dając parę ciekawych wieczorów teatralnych.

Dwóch rzeczy brakowało od początku miłośnikom teatru tu, na emigracji. Nie mieliśmy żadnego kontaktu z twórczością dramatyczną kraju. Czasem w miesięczniku „Twórczość" lub „Odrodzenie" można było przeczytać fragment sztuki naprawdę interesującej, jak „Orfeusz" Świrszczyńskiej, czy „Niemcy" Kruczkowskiego. Z rzadka docierały wydrukowane egzemplarze sztuk teatralnych. Coraz mniej orientowaliśmy się, jak wygląda oblicze teatru w kraju. Dochodziły nowe, nieznane już nazwiska inscenizatorów, reżyserów i aktorów; starzy mistrzowie teatru coraz bardziej odchodzili w cień. Coraz mniej gra się sztuk z polskiego i obcego repertuaru klasycznego. Sztuki współczesne, oparte w dużej mierze na obcych wzorach, wypełniają obficie repertuar teatrów krajowych.

Teatr Dramatyczny w Londynie wystawił sztukę Jerzego Zawieyskiego pt. „Rozdroże miłości", odznaczoną w kraju nagrodą episkopatu polskiego. Sztuka niewiele odbiegła od poprzedniej twórczości tego autora; jest mało samodzielna, mało zwarta. Pobrzmiewają w niej echa Ibsena i Przybyszewskiego i problemy, poruszane niegdyś w dramatach Stanisława Wyspiańskiego. Trudno ją grać, trudno ze sztuki tej wyłowić żywych ludzi. Niemniej dobrze, że publiczność nasza mogła zobaczyć choć jedną sztukę, napisaną w kraju po wojnie.

Drugim wielkim brakiem teatru polskiego na obczyźnie był zbyt nikły kontakt z twórczością dramatyczną zachodu. Dziwnym paradoksem jest to, że my, Polacy, rzuceni wyrokiem losu na zachód Europy, coraz to bardziej oddalamy się od zachodniej kultury. Żyjemy w kręgu własnych, polskich spraw, w kręgu dawnych wspomnień. Z kultury kraju, w którym znaleźliśmy schronienie przyjmujemy na ogół niewiele. Wielokrotnie nie usiłujemy wcale przebrnąć przez dzielącą nas od gospodarzy zaporę językową. Wiadomości nasze o Anglii, o jej życiu i kulturalnym dorobku pozostają nikłe, wiadomości językowe ograniczają się do najpotrzebniejszych w życiu codziennym słów. Dużo ludzi zapomniało języka obcego, którym władało niegdyś płynnie. Nie szuka się już książki francuskiej czy niemieckiej; ruch kulturalno-wydawniczy Francji i Włoch przestał nas interesować. Nieliczne tylko osoby z polskiej emigracji interesują się repertuarem angielskich teatrów stołecznych, w których spotkać można współczesną sztukę znakomitych obcych dramaturgów.

I dlatego z radością witamy ambitną inicjatywę reż. Wacława Radulskiego, który w oparciu o Tow. Przyjaciół Teatru rozpoczyna wystawianie sztuk wybitnych pisarzy obcych. Na pierwszy ogień ma pójść komedia-balet świetnego francuskiego dramaturga, autora głośnej „Antygony", — Jana Anouilh.

Jan Anouilh jest stosunkowo młodym pisarzem, dobiegającym zaledwie czterdziestki. W Polsce przed wojną nie był znany; jedna tylko jego sztuka „Był sobie więzień" z Mariuszem Maszyńskim w roli głównej uzyskała na scenach polskich powodzenie. Po wojnie teatry w Kraju wystawiły ostatnio cztery jego sztuki, między innymi „Antygonę", którą tu, w Londynie, mogliśmy oglądać z Vivien Leigh w roli tytułowej.

Sztuki swoje dzieli Anouilh na dwa rodzaje: „sztuki w kolorze czarnym" i „w kolorze różowym". Sztuki w kolorze różowym są uroczymi komediami, pełnymi wdzięku, dowcipu i przezabawnych sytuacji scenicznych, w których autor celuje. Sztuki w kolorze czarnym przesiąknięte są głębokim smutkiem. W zamyśleniu nad dolą człowieczą autor nie widzi często wyjścia i smutnym, pesymistycznym akordem kończy utwór. Człowiek w jego „sztukach czarnych" szuka siebie i swojej prawdy. Niestety, zbyt silnie związany jest ze społeczeństwem, które jest złe — podlega złym stronom życia, często obarczony jest piętnem na wpół zawinionych grzechów. Zbyt szybko traci nadzieję i wiarę w siebie i w życie. Jedynym wyjściem wydaje mu się ucieczka od swoich, od społeczeństwa — często od życia. Bohaterzy „sztuk czarnych" Anouilh'a, zwłaszcza jego kobiety: świetna „dzikuska" Teresa, Eurydyka, mała, biedna aktoreczka i sama królewna tebańska Antygona — to postacie, które o nędzy człowieka wiele wiedzą. Przerywają milczenie ludzi, którzy się z nędzą ludzką pogodzili, wołają głośno, spędzają sen z powiek tym, co naokoło siebie patrzeć nie chcą. Bohater Anouilh'a zawsze stanie po stronie słabych przeciw silnym. Wiele wymaga i oczekuje autor od życia i zawsze zawiedziony jest w swoim oczekiwaniu, stąd jego smutek i niewiara. Jedyną siłą pozytywną w życiu smutnego i biednego człowieka jest miłość, miłość, która potrafi oczyścić człowieka, uwolnić go od grzechów i nawet uświęcić tak, jak miłość Eurydyki do Orfeusza, który w sztuce współczesnej Anouilh'a przybierze postać ubogiego wędrownego chłopca-grajka.

W uroczej komedii „Bal złodziei" miłość przezwycięża wszystkie przeszkody, triumfuje, śmieje się głośno i radośnie. „Komedia nasza skończona" — stwierdza melancholijnie lady Hurf, jedna z bohaterek sztuki — „ale ci młodzi zagrali ją z całym ogniem i siłą młodości i kochania. Rzucili na szalę młodość — i dlatego wygrali". Wśród przezabawnego, farsowego baletu, w którym niepotrzebne już widzowi postacie zrzucają peruki i brody, kończy się radosna sztuka. O Janie Anouilh napisał jeden z francuskich krytyków: „chcę zastosować do niego słowa z „Lorenzaccia" o ręce poety, tej ręce, która podniosła zasłonę prawdy ludzkiej i nie pozwala już jej opaść i pozostaje nieruchoma aż do śmierci, dźwigając tę okropną zasłonę coraz wyżej i wyżej, aż ponad głowę człowieka".

Tego się żąda od pisarza. Chcemy zobaczyć prawdę człowieka „poprzez labirynt, zwany teatrem". I dlatego czekać będziemy niecierpliwie na polską premierę „Balu złodziei" w Londynie.

JACEK MACHNIEWICZ

O ŻYWE SŁOWO POLSKIE

Życie kulturalne emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii stoi w obliczu zmiany, — która mieć może wielkie znaczenie dla przyszłości... Nie, nie kultury polskiej, to byłaby już przesada — ale dla przyszłości tych ludzi, którzy tu obecnie żyją. Dla nich i dla ich dzieci. Zagadnienie sprowadza się do bardzo zasadniczej kwestii: czy ludzi tych (a przynajmniej ogromną ich większość) dla prawdziwej — podkreślam: **prawdziwej** — kultury polskiej zachowamy, czy też ich utracimy.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że w związku ze stopniowym przechodzeniem Polaków do zawodów cywilnych i osiedlaniem się ich w W. Brytanii dawne skupienia, wywodzące swój rodowód spod niezawsze szczęśliwej gwiazdy wojskowej, zaczęły się rozpływać w albiońskiej mgle i wilgoci. Przypominamy sobie dobrze okres, kiedy zdawało się nie ulegać wątpliwości, że prawie wszyscy wsiąkamy szybko w gąbkę brytyjską — i koniec. Wskazywały na to również pełne zgorzkniałego cynizmu zdania wielu, bardzo wielu rodaków, zapowiadające ich świadomą ucieczkę i odcięcie się od polskości.

Tymczasem, z przyczyn bardzo różnych, w miarę „wymierania" dawnych skupień, zaczęły nagle kiełkować ośrodki nowe, młode, powstające już na zupełnie innych zasadach — ale, choć noszące podobne znamiona mniej lub więcej przypadkowego doboru, bardziej zwarte, o zdrowszej strukturze. Dziś już ośrodki te są prawdopodobnie definitywnie skrystalizowane, a w ich rozmieszczeniu czy składzie żadne zasadnicze zmiany w bliskiej przyszłości zajść nie powinny.

Już ubiegły rok, a szczególnie ostatnie miesiące, wykazały ogromny, spontaniczny ruch dośrodkowy — ku polskości. We wszystkich bez wyjątku nowo powstałych skupieniach i poza nimi. Nie ulega również wątpliwości, że ten zbiorowy nawrót nie nosi ani cech instynktownej samoobrony biologicznej, ani też barwy politycznej. Przeciwnie, ruch ten posiada zdecydowany charakter kulturalny. Jest rzeczą znamienną, że ci sami ludzie, którzy, opuszczając baraki P.K.P.R.'u, kategorycznie oświadczali się za zerwaniem więzów, łączących ich z polskością, — teraz, nie zrywając swych bliżej lub dalej zaawansowanych stosunków ze stałymi mieszkańcami Wyspy, zaczęli szukać towarzystwa innych Polaków i polskiej rozrywki kulturalnej. Wskazuje na to wzmożone czytelnictwo (jestem skłonny bronić tej tezy wbrew protestom pp. wydawców i statystykom nakładów), a przede wszystkim olbrzymi, ciągle niezaspokojony i ciągle narastający głód żywego słowa.

Taki stan rzeczy pozornie stwarza dobrą koniunkturę dla polskiego teatru zawodowego. Faktem jest jednak, że teatr zawodowy pokrywa obecnie zapotrzebowanie na żywe polskie słowo tylko w znikomej części i to nie zawsze w sposób który by można przyjmować bez zastrzeżeń. Ponadto — nawet przy znalezieniu najlepszych rozwiązań — pozostaną zawsze takie skupienia, do których teatr bądź to nie będzie mógł docierać, bądź to nie zdoła dać w nich przedstawień z powodów czysto technicznych, czy też po prostu ze względu na nieopłacalność.

Konsekwencją tego wszystkiego jest samorzutne organizowanie przez wszystkie chyba ośrodki stałych lub dorywczych imprez zbiorowych o charakterze kulturalnym. Inicjatywa ta, która jest zjawiskiem powszechnym, zasługuje na daleko sięgające i wszechstronne poparcie.

Wzmianki, zamieszczane przez naszą prasę codzienną i periodyczną, wykazują, że samorzutnie organizowane imprezy kulturalne mnożą się ostatnio jak przysłowiowe grzyby po deszczu. Sprawozdania te, nie wykraczające poza ciasne ramy suchej notatki, nie dają czytelnikowi najmniejszego pojęcia o tym, w jakich warunkach impreza powstała i — co ważniejsze — czy była rzeczywiście choćby skromnym osiągnięciem w sensie artystycznym lub kulturalnym. Starałem się obserwować te poczynania bez pośrednictwa zniekształcających okularów prasy, lecz o ile możności „na gorąco", biorąc pod uwagę wszystkie ich strony.

Myśl zorganizowania takiej czy innej imprezy rodziła się przeważnie przypadkowo, mimochodem, na marginesie innych spraw „zasadniczych". To nie jest zarzut — to jest komplement. I dowód, że żywe polskie słowo, podane w tej, czy innej formie, stało się organiczną potrzebą. Wystarczyło, by przy jakimś „lovely cup of tea" ktoś powiedział jakiś wierszyk, ktoś inny zaśpiewał piosenkę czy zagrał coś na harmonii — a wnet urządzenie imprezy zostało przesądzone. W ciągu kilku dni dochodziło jeszcze kilka chętnych osób; w toku przygotowań i prób przyłączali się dalsi ochotnicy; po przedstawieniu — jeśli było udane — liczebność i możliwości zespołu zwiększały się wielokrotnie. Skala zależała, oczywiście, od wielkości i charakteru środowiska. Wachlarz uprawianych przez takie przypadkowe zespoły rodzajów imprez jest olbrzymi: od skromnych wieczorów towarzyskich, z rzadka przeplatanych piosenką czy recytacją, poprzez audycje literackie, koncerty, rewie, aż po pełne inscenizacje klasyków naszego komediopisarstwa, a kto wie, czy nie jeszcze bardziej ambitne przedsięwzięcia.

Ocena dotychczasowych osiągnięć jest trudna. Rozporządzamy dość ograniczonym materiałem informacycyjnym i, niestety, raczej przypadkowym zasobem wrażeń, uwag i ocen krytycznych. Niemniej jednak wnioski i refleksje powtarzają się tak często, że sa chy-

ba słuszne. Przeważają uwagi bardzo sceptyczne. Surowość tych ocen wynika z motywu artystycznego lub dydaktyczno-społecznego.

Jeśli chodzi o względ pierwszy, myślę przede wszystkim o słowie. Jest to istotna treść imprezy, jej największa i najbardziej upragniona wartość. To polskie słowo jest, niestety, najczęściej i najbardziej bezlitośnie poniewierane lub co najmniej wypaczane. Najpierw przez nieodpowiedzialny, przypadkowy, a często wprost ignorancki dobór tekstów. I odwrotnie: przez nieodpowiednie, jeśli już nie skandaliczne, wykonanie utworów wartościowych. Wykonawcy nie zdają sobie sprawy z rzeczy tak prostej, jak konieczność pewnego przygotowania do interpretacji tekstu o pewnym ciężarze gatunkowym. Zły dobór i fałszywe podanie w ogromnej większości wypadków bezpowrotnie przekreślają sens imprezy i oczekiwaną korzyść, jaką audytorium mogłoby z niej wynieść, niekiedy zaś wyrządzają nawet szkodę kulturalną.

Jeśli chodzi o imprezy zbiorowe (wieloosobowe) na podobne niebezpieczeństwo narażają każdą inicjatywę wygórowane ambicje reżyserskie i inscenizacyjne, łącznie z przecenianiem możliwości wykonawczych zespołu z jednej strony, a lekceważeniem audytorium z drugiej.

Ocena strony muzycznej czy choreograficznej nie mieści się już w ramach artykułu. Ogólnie można jednak i do tych dziedzin zastosować podobne spostrzeżenia. Lepiej dobrze wykonać Namysłowskiego, niż źle Chopina. Dlaczego silić się na klasyczne „pas de fleurs" lub parnellowskie stylizacje zamiast dać najprostszego, bezpretensjonalnego mazurka, krakowiaka czy kujawiaka w ich czystej, ludowej formie? — Nie znaczy to bynajmniej, że ambitna inicjatywa nie ma szans powodzenia. Chodzi tylko o to, aby na początku nakreślić sobie plany raczej skromne — i wykonać je w pełni, ku zadowoleniu i z korzyścią dla audytorium. Dopiero w miarę wdrażania się w pracę i nabierania rutyny, o ile szanse zdobycia materiałów i możliwości wykonawców na to pozwolą, można stopniowo zwiększać ciężar gatunkowy imprezy i dojść w rezultacie do wyników jeśli nie wielkich, to przynajmniej interesujących i wartościowych.

Dotychczasowe doświadczenia zdają się wskazywać, że najwłaściwszą formą takiej imprezy byłoby coś w rodzaju audycji słowno-muzycznej, traktowanej, o ile możności, jako pewna całość. Podanie musi być lekkie, przystępne, okraszone dobrym humorem, całość żywa i urozmaicona.

Miałem możność obserwowania przez pewien czas rozwoju imprezy o podobnym charakterze w jednym z większych skupień polskich w Anglii. Nosiła ona oficjalną nazwę „Żywy Dwutygodnik" — i była rzeczywiście mówionym, śpiewanym i granym magazynem rozmaitości. — Numer pierwszy, eksperymentalny, wyglądał jak lekki bigos, w którym wiersz, solo fortepianowe czy felieton popularno-naukowy przeplatały się z recytacją prozy artystycznej, lekką piosenką i aktualną satyrą. Ten typ imprezy zdobył sobie z miejsca rację bytu, a nawet powodzenie. W następnych numerach „dwutygodnika" kierownictwo zdecydowało mimo wszystko rozdzielać dalsze wieczory na wyraźne dwie części, obie słowno-muzyczne: pierwszą, tzw. „poważniejszą", obejmującą dział popularno-naukowy i literatury pięknej, w połączeniu z muzyką popularną (sola instrumentalne i pieśni) — i drugą, czysto rozrywkową (lekki wiersz, piosenka, skecz, satyra itp.). Podział okazał się słuszny. Poziom „numerów" osiągnął pewną równowagę i wykazywał może nieznaczną, ale stałą poprawę. Do współpracy wciągnięto całe audytorium, nie tylko przez udział w śpiewie, zagadkach lub konkursach, lecz również przez współredagowanie i ulepszanie „dwutygodnika" drogą prostych ankiet czy dyskusji. Powstały w ten sposób numery specjalne, poświęcone (w części pierwszej) twórczości pewnych pisarzy lub jakiemuś zagadnieniu w literaturze. Przyjemna i dobrze rozwijająca się impreza zakończyła swój żywot kilka miesięcy temu, na skutek likwidacji ośrodka, związanego ściśle z pewnym rodzajem przemijającej pracy i tym samym z góry skazanego na „rozpłynięcie" się po innych środowiskach.

Przykład powyższy miał tylko ilustrować praktyczną możność samorzutnego stworzenia imprezy skromnej, lecz jednocześnie pożytecznej, interesującej i dającej organizatorom—wykonawcom dużą satysfakcję. Trudno go traktować jako receptę, gdyż nie ma recept uniwersalnych, a zbyt wiele zależy od lokalnych możliwości w najszerszym znaczeniu. Świadczy on jednak o tym, że przy racjonalnym założeniu i harmonijnym, zbiorowym wysiłku można pracować dobrze i osiągnąć wiele, opierając się na bardzo skromnych podstawach. Oczywiście, niezawsze inicjatywa lokalna zdoła bez zarzutu pokonać trudności. Toteż byłoby rzeczą pożyteczną, gdyby odpowiednie instytucje czy stowarzyszenia w Londynie i na prowincji zdołały tę inicjatywę w miarę potrzeby wesprzeć. Pomoc potrzebna jest głównie przy uzyskiwaniu materiałów tekstowych i muzycznych oraz przy samej realizacji — w formie praktycznych wskazówek. Jest to apel palący, gdyż głód żywego słowa polskiego jest w tej chwili bardzo wielki i zaspokoić go musimy. Jak to uczynimy i z jakim wynikiem — to już zależy od nas samych. Chodzi tylko o to, aby to słowo było naprawdę żywe, naprawdę cenne i naprawdę — polskie.

WIECZORNICE

materiały i pomoce

WIKTOR BUDZYŃSKI

KELNERZY

Jednoaktówka z piosenkami

Osoby:

Pani Zazulińska (lat około 50)
Małgorzata (lat około 20)
Miss Pool (lat około 30)
Major Ciechcioń (lat ok. 58, ale krzepki)
Bolek — były spadochroniarz (lat ok. 27)
Janek — były lotnik (lat około 27)
Staszek — były lotnik (lat około 27)

Rzecz dzieje się w Londynie w roku 1950 w mieszkaniu pani Zazulińskiej, wynajmującej pokoje pojedyńcze dla samotnych.

Scena przedstawia mały pokoik pojedyńczy, zamieszkały przez trzech kawalerów. Pokój jest bardzo skromnie i pstrokato umeblowany. Jeden tapczan, na którym widocznie nocuje dwóch kawalerów-lokatorów; trzeci sypia na materacu na ziemi. Ten materac w dzień zamienia się w rodzaj kanapy, przykrytej kocem wojskowym.

Każdy mebel w tym pokoju pochodzi z innej licytacji; dlatego nagle jak niespodzianka wykwita pretensjonalne pianino, w miarę rozstrojone i antyczne. (W razie trudności można wszystkie rzeczy, związane z pianinem, zastąpić akordeonem; w tym wypadku wykreślić należy z tekstu te kwestie, które robią aluzję do pianina).

Niemniej nie harmonizuje z tym pokojem pozujący na wytworność wazon „pozłacany" z jakimś błyszczącym zielskiem. Lampa z abażurem własnej roboty pani Zazulińskiej. Abażur stanowią wycinanki z różnych czasopism polskich.

W chwili otwarcia kurtyny pani Zazulińska na przeciągniętym przez scenę sznurku rozwiesza świeżo wyprane białe krawatki frakowe (muszki) oraz czarne frakowe skarpetki.

Zazulińska nuci, rozwieszając.

Zazulińska: ...Za rok — za dzień — za chwilę razem nie będzie nas...

Ciechcioń: (*staje w progu w starym battledressie; spodnie szare cywilne, sweter khaki, — wrócił prosto z pracy*). Pani Zazulińska ma rację. Jeszcze więcej takich popisów wokalnych, a na pewno za dzień, za chwilę nie będzie razem nas. Wypłoszy pani wszystkich lokatorów. Sama sobie pani psuje ten doskonały interes pod nazwą: „wynajem kawalerskich pokoi po przystępnej cenie dla samotnych".

Zazulińska: A pan Ciechcioń, gdy tylko skończy interes malarski, zaraz zaczyna dokuczać niewinnej kobiecie.

Ciechcioń: Przede wszystkim: major Ciechcioń — pani Apolonio...

Zazulińska: Malarz Ciechcioń, panie majorze kawalerii, — bo z wojennego alianta przemienili pana w pokojowego malarza.

Ciechcioń: Dopóki pokój trwa, maluję pokoje, ale jak przyjdzie wojna, pani Zazulińska, — to pani zobaczy, co Ciechcioń znaczy.

Zazulińska: Ani ja zobaczę, ani pan, bo jak rozpuszczą atomową w wodorowej, to z Ciechcionia będzie proszek, a z Zazulińskiej dymek.

Ciechcioń: Na razie Ciechcioń żyje, wrócił z pracy, płaci za komorne i czeka na „high tea" czyli na wysoką herbatę z rybą po wysokiej cenie.

Zazulińska: (*kończy rozwieszanie*) Ceny się też panu tu nie podobają?

Ciechcioń: Pani myśli, że choć jeden lokator jest zachwycony tym tutejszym pani interesem pensjonatowym z zimną wodą, z zimną kolacją, z bieżącym komfortem i bieżącymi plotkami?

Zazulińska: To co pana tu trzyma?

Ciechcioń: To samo, co trzech gentlemanów, zajmujących ten pojedyńczy pokój: zaległe komorne.

Zazulińska: Dobrze, że mi pan przypomniał.

Ciechcioń: Komorne?

Zazulińska: Nie, — moich trzech pupilków; tylko co ich nie widać, kończą dziś pracę o szóstej. Muszę się pospieszyć (*zabiera koszyk do bielizny, kieruje się do wyjścia*).

Ciechcioń: (*ogląda pokój*) Trzech pupilków? A może jeden?

Zazulińska: O kim pan myśli, niepoprawny zazdrośniku — kawalerzysto?

Ciechcioń: Tylko saper może ryzykować flirt z własną gospodynią...

Zazulińska: (*w drzwiach rozpromieniona*) Ach — pan Janek — właśnie o panu mowa!

Janek: (*we fraku kelnerskim prosto z pracy z jakimś zawiniątkiem albo torebką*). Dobrze, dobrze — dzisiaj w Dorchesterze mieliśmy urwanie głowy. Nóg nie czuję. (*siada zmęczony, zapala papierosa*).

Ciechcioń: Nie wiem, gdzie lepiej, panie kolego, na drabinie czy w restauracji. Pani Zazulińska zaraz zrobi herbatę. (*wychodzi*).

Zazulińska: Co ja zrobię, moja rzecz. Może akurat będzie kawa? (*troskliwie — czule*) Co pan woli, panie Janku?

Janek: Na jedzenie już patrzeć nie mogę. Tyle tego żarcia podaję innym cały dzień, że chyba poproszę o mocną kawę.

Zazulińska: Świetnie. Będzie kawa. Doskonale. Z kożuszkiem? Czy bez kożuszka?

Janek: Przede wszystkim bez gadania, pani Zazulińska. Po takim restauracyjnym całodziennym gwarze nawet saper ma dość.

Zazulińska: Nie przeszkadzam. Przepraszam. Ach — krawateczka i skarpeteczki suszą się na sznureczku, — będą na jutro rano gotowe.

Janek: (*ściąga frak i rzuca na krzesło*) Jak pajac człowiek ciągle — jak pajac. W tym fraku od świtu do nocy...

Zazulińska (*czule*) Panu tak wyjątkowo do twarzy w tym stroju. Frak leży jak ulał, panie Janku.

Janek: My wszyscy leżymy, jak ulał. (*po chwili*) Staszek i Bolek jeszcze nie wrócili?

Zazulińska: Już dwa razy dzwoniła Miss Pool, pytając o Staszka. Widocznie wstąpili obaj na jeden głębszy do baru. Ach — najgorsi ci lotnicy i spadochroniarze. Mój pierwszy mąż był saperem...

Janek: To ciężka praca, pani Zazulińska...

Ciechcioń: (*w drzwiach*) Pani Apolonio, woda się gotuje. Co robić?

Zazulińska: Lecę! Major, malarz i z wodą sobie nie umie poradzić. (*wychodzi z Ciechcioniem do przedpokoju*).

Janek: (*został sam, położył się na tapczanie*) Yes, Sir. Coming, Sir. Thank you, Madam. Bill please. Soup? Yes, Madam. Without cream? Yes, Sir...

Staszek: (*wchodzi*) Hallo! Masz dość? Co? Ja też. U Berkeleya było dzisiaj specjalne przywatne przyjęcie, — obiad. Rozumiesz? Same lordy i lordzice. Nie było komu powiedzieć „Sir": tytuł najniższy „Your lordship".

Janek: Utargowałeś coś z napiwków?

Staszek: Gdzie tam. Jak zwykle, wszystko do wspólnej puli i podział według lat służby. A ponieważ ja byłem 8 lat w „Rafie", a tylko 6 miesięcy w restauracji, wypadło na mnie 5 „bobów" — czyli 5 szylingów brutto. Wypiłem za to dwie wódki ze złości. Masz, to dla ciebie. (*podaje mu małą paczkę*).

Janek: Resztki z lordowskiego stołu?

Staszek: Twój specjał: nóżka bażanta!

Janek: Nie mogę dziś patrzeć na to. U nas też serwowano bażanty. Ja bym zjadł uczciwą kiełbasę z kapustą. Daj to Zazulińskiej.

Staszek: Oszalałeś? Wolę to schować dla Jean.

Janek: Ale, ale. Dzwoniła przed chwilą, pytała już o ciebie ta twoja miss Pool. Tylko błagam Cię — nie żeń się. Ocalałeś nad Berlinem, — nie możesz zginąć pod angielskim pantoflem...

Staszek: A co mam robić? Wżenić się w pensjonat Zazulińskiej? Czy skończyć moją karierę jako kelner u „Berkeleya"?

Janek: Musimy wszyscy coś innego wymyślić. Nie można żyć bez celu — z dnia na dzień — od napiwku do napiwku. Wiesz, czego nam najwięcej brak?

Staszek: Mnie spadochronu. Żeby wyskoczyć z tej wyspy gdziekolwiek i wylądować choćby na własnym...

Janek: Major Ciechcioń, żołnierz wzorowy i patriota, powiedziałby nam zaraz: „Cel"? „Przetrwanie". „Radość"? „Paczki do Polski, do rodziny". I tak dalej i tak dalej — jak na odprawie wojskowej.

Janek: To też nie jest argument. Ja na przykład nie mam komu posyłać paczek do Polski. Wiesz? Rodzina moja nie istnieje. Przetrwanie? Zgoda. Ale ja nie umiem przetrwać tak, jak mi się teraz życie układa: kelnerowanie, odżywianie samego siebie, myślenie tylko o sobie, życie tylko dla siebie...

Staszek: Ożeń się z Zazulińską. Będzie zachwycona i zapewniam cię, że roboty będziesz miał powyżej uszu. Myślę o praniu, gotowaniu, sprzątaniu pokoi. Ot jest wyjście.

Janek: Ty kpisz, ale wiesz dobrze, o co mnie idzie. Na ten niedosyt, na to wegetowanie niezmierzone — w sobkostwie — nieraz skarżyłeś się również w chwilach szczerości. Pamiętasz?

Staszek: Owszem. Nawet próbowałem coś niecoś z moich niespodziewanych napiwków złożyć na jakiś zbożny cel. Ale przestałem wierzyć w cele. Jednak nie przesadzajmy, bo znowu wszyscy trzej nie mamy takich zarobków, żeby się dzielić z innymi.

Janek: Dlatego nazwałem to wegetacją. Zapłacisz, albo nie zapłacisz komornego Zazulińskiej, wyrównasz rachunek w pralni za kilka koszul frakowych i za sztywnienie gorsów, wykupisz tygodniowy przydział żywności racjonowanej, pozwolisz sobie na luksus kinowy raz w tygodniu oraz na 20 papierosów dziennie — i koniec, bratku, koniec...

Staszek: Czasem ten koniec nawet nie wiąże się z końcem.

Janek: A jednak — oddałbym nie wiem co za to, żeby mieć kogoś bliskiego przy mnie, kto bardzo potrzebuje pomocy, komu byłbym niezbędnie potrzebny, z kim mógłbym podzielić się choćby ostatnim szylingiem...

Staszek: (*patetycznie*) Janku, ta osoba jest tak blisko ciebie.

Janek: Kto?

Staszek: (*patetycznie*) To — ja. (*innym tonem*) Pożycz 10 szylingów na trzy dni. Mam randkę z moją miss Pool dziś wieczorem...

Janek: (*śmiejąc się*) To nie jest niezbędna potrzeba.

Staszek: Ona ma takie małe wymagania: kino z dodatkami aktualności za jeden szyling dziewięć pensów i kolacja przy bufecie w „popularnej restauracji na stojąco".

Janek: A ja ci mówię, że to jest gorszy hazard, ta twoja miss Jean Pool, niż prawdziwy „pool" przez małe „p" i prawdziwy Gin — przez duże „G". Co z tego wyjdzie?

Staszek: W najgorszym razie małżeństwo polsko-brytyjskie. Będą o mnie po gazetach pisać i dyskutować. A to jest tylko kwestia przyzwyczajenia. „Pudding", „porridge" trzeba pokochać równocześnie z żoną, z fajrplejsem i z gorącą flaszką na noc do łóżka.

Janek: Jesteś rozbrajająco szczery. Masz dziesięć szylingów. (*wręcza mu banknot*).

Staszek: (*z szerokim gestem wyciąga banknot w kierunku drzwi*) Powiem jej: Darling — to dla ciebie...

Zazulińska: (*stanęła w drzwiach, biorąc banknot z jego rąk*) Dziękuję — będzie a konto zaległego komornego. Kawa stygnie. Czy Bolek już wrócił?

Janek: Ale gdzie tam. Wpadł jak kamień w wodę.

Staszek: (*do Zazulińskiej*) Pan Bolek — pan Bolek, proszę Pani Zazulińskiej. My wszyscy jesteśmy „panowie".

Zazulińska: Panowie? Aha! Ja piorę wasze skarpetki, to ja wiem najlepiej, jacy wy panowie.

Staszek: Skarpetki o niczym nie świadczą. My prowadzimy chodzony tryb życia. System narodowy: obchody — rozumie pani Zazulińska?

Zazulińska: Obchody?

Staszek: Tak. Obchodzimy Anglików w restauracjach londyńskich w „Dorchesterze", u „Berkeleya" i w „Ritzu" z tacami i półmiskami. Jasne? A po pracy, gdy wrócimy do polskiego domu, zamiast żeby znaleźć serce matczyne, tracimy ostatnich dziesięć szylingów, wyrwanych spod serca... (*udaje wzruszonego*).

Zazulińska: Ależ panie Stasiu — ja nie wiedziałam. Ot tak, dla żartu — gdzież bym ja was z ostatnich pieniędzy ogałacała. (*oddaje mu banknot*) Pan wie, że dla pana wszystko, — bo ja mam słabość do saperów.

Janek: Kawa stygnie, będzie zimna.

Zazulińska: Takiego zimnego sapera — jak żyję nie widziałam. (*wychodząc, mówi w progu*) Proszę na kolację, bo tego Bolka już się nie doczekamy, a major Ciechcioń zagroził wymówieniem, jeżeli zaraz nie podam jedzenia.

Janek: Ach to jedzenie...

Staszek: Nie narzekaj! Bez jedzenia bylibyśmy bezrobotni. Gdyby ludzie przestali jeść, nie byłoby kelnerów na świecie. (*obydwaj ściągają fraki i kołnierze, przebierają się w stare battledressy: Janek „khaki", Staszek „blue" lotniczy. Wychodzą za Zazulińską. Scena przez chwilę pusta. Z przyległego pokoju dochodzi głos Zazulińskiej, potem Ciechciona:*

Zazulińska: Proszę siadać — wszystko wystygło.

Ciechcioń: Do żłobu, rodacy, do żłobu, bo mnie marsza kiszki grają. (*gwar — śmiechy zza sceny. Po chwili dopiero, gdy gwar cichnie, przez środkowe drzwi wsuwa głowę Bolek. Jest tak, jak jego koledzy, we fraku, na który ma narzucony płaszcz nieprzemakalny khaki typu wojskowego, szalik, skromny kapelusz demobilizacyjny. Daje komuś znaki do przedpokoju, sprawdza pokój i szybko otwiera drzwi na oścież*).

Bolek: Okey — uwaga — skok. (*W drzwiach szybko za nim staje, po czym wpada do pokoju przerażona młoda panienka lat około 20, bardzo skromnie ubrana z neseserem w ręku*).

Małgorzata: (*objęła pokój wzrokiem*) To pan sam tu?

Bolek: (*zamykając drzwi na klucz*) Cały flat mój...

Małgorzata: Dlaczego pan zamyka drzwi?

Bolek: Zamek nie trzyma. Wojenna robota — przeciągi...

Małgorzata: Aha. (*chodzi po pokoju*) A kogo pan się bał — tam w przedpokoju?

Bolek: (*tajemniczo*) Ciotka-furiatka! Mania prześladowcza: zdaje się jej, że jest gospodynią tego domu i właścicielką pensjonatu.

Małgorzata: Biedactwo! Ten pensjonat to skutki wojny?

Bolek: Każdy pensjonat polski — to przeważnie skutki wojny...

Małgorzata: Ale pan jej chyba pomaga? Pana przetwórnia rydzów musi dobrze iść, skoro pan w biały dzień we fraku chodzi po Londynie?

Bolek: Jaka przetwórnia rydzów?

Małgorzata: Jak to? Pan nie pamięta? Spotkałam pana w Green Parku i zaraz w pierwszym zdaniu powiedział pan, że wraca pan z „Ritza". Zapytałam wtedy: a co to jest?

Bolek: Tak — tak — pamiętam. Odpowiedziałem: Moja własna przetwórnia rydzów — fabryka marynat grzybowych.

Małgorzata: No więc? Ale mieszka pan bardzo skromnie — jak na właściciela fabryki.

Bolek: Względy podatkowe. Chodzi o to — wie pani, żeby nie wymierzyli podatku od luksusu. Jasne?

Małgorzata: Owszem. Dużo pan zarabia na tych marynatach?

Bolek: Rozkręca się. Dziękuję. Tego roku słabo obrodziło i napiwki nawalają — to znaczy chciałem powiedzieć, nalewki zalewają... Proszę siadać...

Małgorzata: Auta pan jeszcze nie ma?

Bolek: W naprawie. Dlatego panią fatygowałem autobusem. O tej porze złapać taksówkę — to nawet ponad siły milionera. Znosi pani autobusy?

Małgorzata: Jeżeli mi tylko wystarczy forsy na taką komunikację, to znoszę...

Bolek: (*rozkłada pakunek na stole. Z pakunku, który przyniósł z sobą, wydobywa: nóżkę kury, kawałek pasztetu, jakieś kanapki, małą flaszkę wina czerwonego*). Może pani pozwoli — zjemy razem kolację. (*nakrywa stół*).

Małgorzata: Skąd to wszystko?

Bolek: Ciotka codziennie rano taką wałówkę daje mi do biura. Ale przynoszę z powrotem. Nie mam czasu jeść. Konferencja za konferencją. Ten kręci głowę rydzami marynowanymi, ten zupą, ten „płacić", tamten legumina...

Małgorzata: Legumina? Płacić?

Bolek: Biuro — rachunki — ruch. Jasne?

Małgorzata: Owszem...

Bolek: (*nalał wina do kieliszków*) Madame...

Małgorzata: Pan tak to fachowo zrobił — pan byłby świetnym kelnerem.

Bolek: Niech pani odpuka!

Małgorzata: (*z kieliszkiem w ręku*) Pan się ze mnie będzie śmiał. Pan tego nie zrozumie. Ja z panem będę szczera: takich specjałów dawno nie widziałam — jadam bardzo oszczędnie...

Bolek: Nie ma o czym mówić. Oczywiście, że ja tego nie rozumiem, bo ja jeszcze tyle jedzenia nie widziałem w życiu, co teraz...

Małgorzata: (*rozpłakała się rzewnie*) Dopiero gdy pana poznałam, zrozumiałam, jaka jestem bardzo biedna...

Bolek: (*zagaduje, zmieszany*) Co pani opowiada? Może wino dobrze zrobi?

Małgorzata: Nie — dziękuję. Pan pomyśli, że ja w Londynie tak często z wizytami chodzę po nieznajomych, że ja z biedy tutaj dałam się namówić. Nie, nie. Pan we mnie wzbudził zaufanie. Pan nie wyglądał na to, kim pan jest. Całkiem inaczej sobie wyobrażałam zawsze zamożnego fabrykanta...

Bolek: (*wyprężając się*) No cóż — zdarza się.

Małgorzata: Gdy pana zobaczyłam, to sobie pomyślałam: normalnie zarabiający ciężko rodak, — może pracuje w fabryce lodów, może w kuchni hotelowej naczynia myje, może...

Bolek: Może co?

Małgorzata: Może kelner. A tymczasem... (*odstawia nietknięty kieliszek*) Dziękuję panu za dobre chęci. Jestem za biedna na to, żeby korzystać z pana hojności. Gdyby pan wiele nie miał — tak samo, jak ja nie mam — i tym, co pan ma, chciałby się pan podzielić się ze mną — to co innego. Ale w tych warunkach...

Bolek: Zaraz. Niech pani siada. Błagam. Wszystko wyjaśnię. Otóż ja jestem... (*głośne dobijanie się do drzwi — głos Zazulińskiej*).

Zazulińska: Co tam się dzieje? Proszę zaraz otworzyć!

Małgorzata: Niech pan nie otwiera. „Ciotka"? Prawda? Co ja jej powiem?

Bolek: Nie wolno drażnić furiatów. Niech pani pamięta: to maniaczka! Dobrze ciotuchno. Zaraz otwieram. Dobrze... (*otwiera, w progu Zazulińska ze ścierką w ręku*).

Zazulińska: Ach tak — oczywiście. „Girlsa" w kawalerskim pokoju. Pani wie, że to mój dom? Pani wie, że ja jestem gospodynią tego pensjonatu?

Małgorzata: (*mrugając do Bolka*) Wiem, wiem, pan Bolek mi mówił — naturalnie — tak...

Zazulińska: No więc?

Małgorzata: Nic. Bardzo mi się tu podoba...

Zazulińska: To nieważne. Pokoje są wynajmowane u mnie z jednym warunkiem: osobom płci odmiennej z wyjątkiem mnie i majora Ciechcionia wstęp wzbroniony. Tutaj oni się duszą we trójkę w tym pokoju. Ładnie bym wyglądała, gdybym się jeszcze zgodziła na gości i to na takich gości. (*ogląda Małgorzatę*).

Bolek: (*szeptem do Małgorzaty*) Atak furii u cioteczki wystartował... Myśli, że ja tu mieszkam w trójkę. Dobry kawał — hi, hi...

Małgorzata: Mnie jej żal. Troi jej się w oczach najwidoczniej.

(*W drzwiach stają Staszek i Janek*).

Zazulińska: Proszę, proszę, śmiało. Na własne oczy przekonacie się, co ja mam z wami. Niedość, że komorne nie płacone regularnie, to jeszcze regularne wizytki bez mojej wiedzy. Proszę to załatwić we własnym zakresie. A pani niech zmyka, pókim dobra... (*wychodzi*).

Małgorzata: Kto to?

Bolek: Kto?

Małgorzata: Ci dwaj — tam! (*wskzauje Janka i Staszka w progu*).

Bolek: Nie mam pojęcia. Widzę ich pierwszy raz w życiu. Jakieś „Polusy". Pewnie ciotce malują mieszkanie do spółki z Ciechcioniem, majorem w stanie malarskim. Niech się pani trzyma z daleka od nich: to nie jest towarzystwo dla pani.

Małgorzata: Przeciwnie — żołnierz, ciężko pracujący, to właśnie towarzystwo dla mnie. Jeszcze mają stare swoje mundury... (*podchodzi do Janka i Staszka, podaje im serdecznie i szczerze rękę*).

Bolek: Co takiego?

Janek: Rodaczka? Bardzo nam miło.

Staszek: Niech pani się nie obawia, z panią Zazulińską damy sobie radę.

Małgorzata: (*intymnie*) Niech panowie uważają: jesteście tu pierwszy raz w charakterze malarzy pokojowych. A to niebezpieczna furiatka. Ma manię na tle posiadania pensjonatu, gdy w rzeczywistości ten dom należy do pana Bolka.

Staszek: Ten dom?

Małgorzata: Tak — i przetwórnia rydzów „Ritz" w Londynie. To bardzo zamożny człowiek!

Janek: Naprawdę? Co pani mówi?

Małgorzata: I dlatego ja nie chcę jego wina i jego pomocy. Od takich, którzy więcej mają ode mnie, nie przyjmę niczego...

Staszek: Pomocy? Pani potrzebuje pomocy?

Janek: Świetnie się składa. Zjemy coś razem. Staszek, przynieś pędzle, drabinkę i blaszanki. (*do Bolka*) Jeżeli Pan Dyrektor pozwoli, to my tu sobie coś frygniemy — przed nocnym malowaniem. Można? Dziękuję... (*Staszek wyszedł — wrócił za chwilę z pędzlami, z drabinką, blaszankami z farbą i z koszykiem z jedzeniem*).

Ciechcioń: (*w drzwiach*) Ale tylko na chwilę, i nie zniszcz mi pan pędzli... (*cofa się z powrotem*).

Staszek: Tak jest, panie majster. Będę uważał. W jaki deseń pan dyrektor każe ten pokoik?

Janek: (*ponuro*) Na szaro go zrobimy... (*patrzy znacząco na Bolka*).

Bolek: (*do Małgorzaty*) Niech malują. My zjemy kolację na mieście, prawda, panno — jak imię przepraszam — nie złowiłem?

Małgorzata: (*do Janka i Staszka*) Małgorzata Tużycka.

Janek: (*do Bolka*) Małgorzata? Słyszał pan dyrektor?

Staszek: Małgorzata? Co za imię? Aż dreszcz przechodzi? Prawda panie dyrektorze?

Bolek: Idziemy, panno Małgorzato...

Małgorzata: Niestety, jestem zaproszona przez moich rodaków malarzy pokojowych. Nie mogę i nie chcę im odmówić.

Bolek: Powiem pani całą prawdę...

Janek: (*zagadując*) Strop w gwiazdki robić, panie dyrektorze, czy w ptaszki? Co pan dyrektor woli na „dzień dobry"?

Bolek: Więc powiem pani całą prawdę, skoro tego rodzaju metody są stosowane...

Staszek: (*rozłożył na drabinie na schodkach jedzenie w papierze*) Co panna Małgosia pozwoli: ser własnego wyrobu z kwaśnego mleka? Ogórki? Salceson z zimnego bufetu?

Małgorzata: (*ze smakiem zabiera się do jedzenia na drabinie*) Ogóreczka poproszę i kawałek sera.

Janek: (*siadając koło niej*) Fajno jest, prawda?

Staszek: (*podobnie*) My, proletariat, musimy trzymać sztamę.

Małgorzata: (*poważnie*) Ciszej, bo dyrektorowi będzie przykro.

Janek: Co ma mu być przykro? Burżuj!

Staszek: Kapitalista, ciemiężca ludu pracującego...

Bolek: (*zapatrzył się w jedzącą Małgorzatę — mówi do siebie*) Bardzo ładna — bardzo ciekawa...

Janek: Patrz, jak się dyrektorowi nasza drabina podobała... (*telefon dzwoni w przedpokoju*).

Ciechcioń: (*w drzwiach*) Miss Pool...

Staszek: Sekretarka pana dyrektora — fabryka wzywa.

Ciechcioń: Nagła sprawa — mówi miss Pool.

Janek: Słyszy pan dyrektor? Lepszy rydz jak nic.

Bolek: (*zacisnął zęby — popatrzył na nich strasznym wzrokiem*) Dobrze — jadę do fabryki. (*szeptem*) Ale czarna wasza godzina, gdy wrócę...

Małgorzata: Może się obraził na mnie?

Janek: On nie ma czasu się obrażać. Business...

Staszek: (*woła do przedpokoju*) Auto dla pana dyrektora!

Ciechcioń: (*w drzwiach*) Co się tu dzisiaj dzieje? Istny dom wariatów?

Janek: Normalna rzecz. Przetwórnia rydzów wzywa dyrektora...

Ciechcioń: Co takiego? Czyście oszaleli? Co tu się dzieje?

Staszek: Prędzej — prędzej! (*wypycha Ciechcionia i Bolka za drzwi*) W interesie nie ma czasu na takie ceregiele towarzyskie.

Bolek: (*do Staszka*) Miss Pool będzie bardzo mile zdziwiona — zmianą na stanowisku amanta. No, panowie malarze brać się do roboty! (*wychodzi z Ciechcioniem*).

Janek: (*po chwili — biorąc się niby do mieszania farb*) Gdzie pani poznała tego typa?

Małgorzata: W Green Parku. Szedł obok mnie, czytał „Dziennik Polski". Uśmiechnął się. Tak skromnie wyglądał, — myślałam, że może taki sam jak ja — jak wy. Nie wiedziałam, że aż taka figura. I pewnie dlatego podejrzewacie mnie...

Staszek: O co?

Małgorzata: Że chciałam skorzystać z okazji, aby zjeść z nim kolację — pójść z nim do kina — dać sobie fundować — nacieszyć się jego zamożnością...

Janek: To niby tak mogło wyjść, gdyby nie fakt, że panna Małgorzata została z nami właśnie...

Staszek: Co znaczą pieniądze wobec uroku miłego towarzystwa?

Janek: O kim myślisz?

Staszek: Tylko o sobie.

Małgorzata: Panowie — ale wy w ogóle nie malujecie przeze mnie?

Janek: My w ogóle nie malujemy...

Staszek: To znaczy owszem, my malujemy — ale według angielskiego systemu pracy: „Tea-time" — czyli pora herbaty, przeplatana mieszaniem farby i odkurzaniem drabiny. Oto całodzienna praca.

Małgorzata: Wyglądacie obaj bardzo zmęczeni?

Janek: Gdyby pani miała podczas malowania tyle przerw na herbatę, to też by pani źle wyglądała.

Małgorzata: (*ciszej*) A ta „ciotka-furiatka" nie będzie się na was gniewać?

Staszek: Ale gdzie tam. My jej powiemy, że to właśnie świeżo malowane, i uwierzy na słowo. Z wariatami można się lepiej dogadać, niż z normalnymi emigrantami...

Janek: Poza tym ta „ciotka-furiatka" — jak pani mówi — zapłonęła pierwszą miłością do mnie, bo jej mąż też był kiedyś saperem.

Małgorzata: To pan jest saperem? Przepraszam — był pan saperem? To ładne wojsko...

Staszek: Bardzo ładne. Albo się moczyło w wodzie, albo wylatywało na minach.

Małgorzata: Pan też saper?

Staszek: (*oburzony*) No wie pani!

Janek: Co to znaczy: „wie pani" — hę?

Staszek: Lotnika powinno się poznać — sercem. Jeżeli już nie po tym starym niebieskim battledressie.

Małgorzata: Lotnik? (*oczarowana*) Taki z bombami? Czy taki do polowania?

Staszek: (*poprawia*) Myśliwiec — proszę pani...

Janek: Taki z drabiną, proszę pani. Poluje na okazje do zmalowania czegoś.

Małgorzata: Czuję się jak na wojnie: saper — lotnik —

Janek: I Małgorzatka!

Staszek: Wszystko się zgadza...

(*Janek albo Staszek podchodzi do pianina — jeżeli wykonawca jednej z ról może zaakompaniować na pianinie. Jeżeli nie — to każdy z nich na zmianę markuje granie na pianinie, a za sceną gra ukryty pianista w kulisie albo z tyłu w głębi sceny, oczywiście niewidoczny dla publiczności*).

Janek: Piosenka na nutę „Małgorzatka".

Staszek: Małgorzatka taka była — z żołnierzami zgodnie żyła.

1.

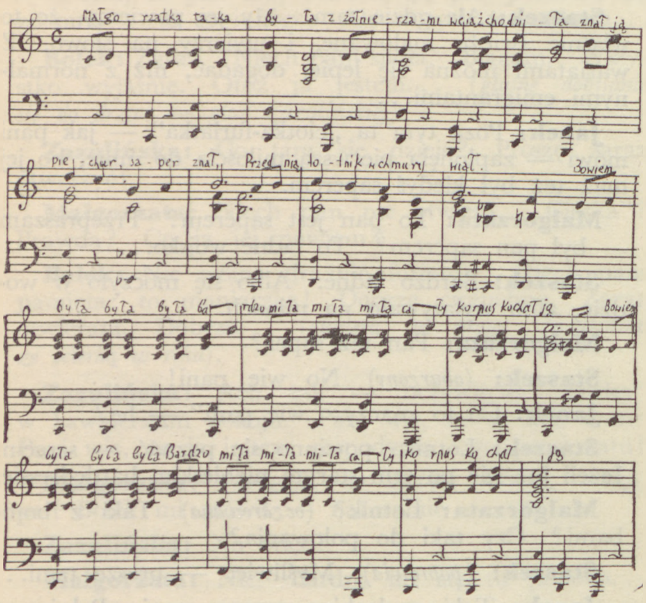
Janek: Znał ją piechur, saper znał,
Staszek: Przed nią lotnik w chmury wiał,
Małgorzata: Bowiem była — była — była — Bardzo miła — miła — miła,
Janek i Staszek: Cały korpus kochał ją...

2.

Janek i Staszek: A po wojnie w „Pekaperze" — żołnierz ją wspominał szczerze;
Małgorzata: Choć Angielkę każdy miał — Jedną Polkę w piosnce znał:
Janek: Która była — była — była —
Staszek: Bardzo miła — miła — miła —
Razem: Małgorzatka — what a gal?

3.

Janek: Gdzie sapery — gdzie amanty?
Staszek: My już teraz kombatanty:
Janek: Kelner — malarz — pusty trzos.
Staszek: Małgorzatko, zapłacz w głos.
Małgorzata: I jest znowu tak, jak była, —
Razem: Taka sama miła — miła — Razem z nami dzieli los.



Nuty „Małgorzatki"

(*Po piosence na skoczną melodię „Małgorzatki" — ewolucja taneczna w trójkę albo we dwójkę — zależnie od tego, kto gra na pianinie. Ewolucja powinna być pomyślana komicznie — prowadzona pomiędzy stołem i krzesłami — pod drabiną — z marszem z kubełkami i pędzlami. Zakończyć trzeba całą scenę przed drzwiami, w których staje wzburzona do głębi pani Zazulińska*).

Zazulińska: Panna jeszcze tutaj? I dancing się odbywa? „Palais de danse" uskutecznia się z porządnego interesu pensjonatowego? Tego pianina nikt nie tykał od kupienia na licytacji.

Staszek: To poznać...

Zazulińska: Pianino nie jest do grania, tylko do ozdoby. Za używanie instrumentu oddzielna opłata. (*popatrzyła na Janka*) Taki porządny człowiek z pana był — taki kelner uczciwy — i na taki koniec panu przyszło?

Małgorzata: Kelner? Co pani mówi? Kelner?

Zazulińska: A co — książę z bajki? No, bo tego lotnika nie liczę — to stracony człowiek. Zmienił wyznanie miłosne i przeszedł na angliczańskie narzeczeństwo.

Staszek: (*pokazuje na migi na czoło w odpowiedzi na pytający wzrok Małgorzaty*) Króliki — mówiłem — króliki...

Zazulińska: (*otwiera drzwi szeroko*) A panna — będzie łaskawa opuścić ten kawalerski pokój trójkowy dla samotnego pana z pełnym komfortem.

Ciechcioń: (*staje w szeroko otwartych drzwiach*) Co się tu dzieje?

Małgorzata: Trójkowy pokój?

Ciechcioń: (*gotów do wyjścia*) Kombatanci — oddajcie mi moją drabinkę, pędzle i farby. Dość kawałów — Dyplomowany major pokojowy — chciałem powiedzieć malarz pokojowy — zaczyna nocną pracę. Zaraz wychodzę...

Janek: (*wręczając mu drabinkę, pędzle i farby*) Płacą extra — panie majorze?

Staszek: Majorom zawsze płacili extra. Diety malarskie — prawda, mister Ciechcioń?

Ciechcioń: (*zabierając rzeczy*) Wam figle w głowie, a ja mam przed sobą całą noc na drabinie.

Małgorzata: (*podeszła do niego, uścisnęła mu rękę serdecznie*) Panie majorze — to przecież tylko chwilowe... To wszystko się ułoży. Z pokojowego malarza może jeszcze być wojenny major. Dobrze, że jest praca — bo na przykład ja... (*przerwała*).

Ciechcioń: Pani jest bez pracy?

Zazulińska: To nie jest jeszcze przyczyna tańczenia z obcymi kelnerami w kawalerskim pokoju — w uczciwym domu...

Małgorzata: Przepraszam panią — (*do Staszka szeptem*) Całkiem logicznie mówi, widocznie ciotce się poprawiło...

Zazulińska: Niech pani nas nie próbuje brać na sentyment. (*po chwili*) Rzeczywiście — nie ma pani zajęcia?

Małgorzata: To nieważne. Zwierzać się można tylko w gronie ludzi przyjaznych, a tutaj widzę, urządzono sobie zabawę ze mnie. Najpierw ten dyrektor, teraz ci malarze-kelnerzy. Już nie wiem kto... (*zmierza do wyjścia*).

Ciechcioń: (*do Zazulińskiej*) To bardzo miła i rozumna dziewczyna...

Zazulińska: Macie! Tego brakowało! Jeszcze pan? Świat się kończy.

Ciechcioń: Nareszcie udało mi się wzbudzić zazdrość w upartym sercu kobiety, która do tej pory w młodym saperze lokowała cały sentyment. (*do Małgorzaty*) Pani pozwoli: były major kawalerii Ciechcioń. Nawet drabina i pędzle nie powinny zmienić naszej tradycyjnej szarmanterii wobec dam. Szczególnie wobec dam słabych, potrzebujących męskiego ramienia... (*podkręca wąsa*).

Zazulińska: Proszę — to jest stara szkoła! Wstyd, panowie saperzy — lotnicy — kelnerzy. (*do Ciechcionia*) Panie majorze! stara Samosierra, Grenada, Elstera i San Domingo przemówiły przez pana usta.

Ciechcioń: (*całuje Zazulińską w rękę*) Pani Apolonio. Ukryte zalety kawaleryjskie mają większą wartość, niż najlepsze maniery kawaleryjskie. (*do Małgorzaty*) A teraz — szczerze — niech no panienka powie staremu majorowi — jak ojcu: czy możemy pannie pomóc?

Małgorzata: (*wzruszona*) Panie majorze...

Ciechcioń: Śmiało! Mógłbym mieć taką córkę — jak panna Małgorzata. I to niejedną! (*podkręca wąsa*).

Janek: Pan major spóźni się do pracy!

Staszek: Straci pan extra nocne malowanie!

Ciechcioń: Spokój — bo postawię na baczność...

Zazulińska: (*do Janka i Staszka*) Sublokatorzy — szczególnie niepunktualnie płacący — głosu nie mają. (*do Małgorzaty*) Panna Małgorzata pozwoli ze mną do jadalni — pogadamy jak kobieta z kobietą. Majora możemy też uznać jako kobietę czasu pokoju. Proszę do mnie.

Małgorzata: Dziękuję pani bardzo — dziękuję. Czy pani czuje się już lepiej?

Zazulińska: Ja? Ja się zawsze czuję świetnie.

Małgorzata: Bo pan dyrektor mówił, że pani miewa takie załamania nerwowe...

Zazulińska: Kto mówił?

Małgorzata: Pan dyrektor — pan Bolek — właściciel tego domu i dyrektor przetwórni rydzów...

Zazulińska: (*patrząc znacząco na Staszka i Janka*) Uhm, właściciel domu? Ja pani to wszystko wyjaśnię. Na razie obydwu hrabiów przeprosimy i zaczekamy u mnie na powrót „właściciela nieruchomości". (*wychodzą w trójkę*).

(*Janek i Staszek zostali sami — chodzą zakłopotani po pokoju*).

Janek: Ładnie wyglądamy? Co?

Staszek: Wyszliśmy jak ciemniaki — wstyd!

Janek: Jak z tego „korkociąga" wyjdzie pan pilot?

Staszek: Pan saper musi rozbroić miny Zazulińskiej i zbudować most pontonowy do naszej Małgorzaty.

Janek: Jaka ona tam nasza? Nie wiadomo czyja i skąd?

Staszek: (*po chwili*) Janek! Może to jest ten cel o którym mówiliśmy?

Janek: Cel? Ona? Dziewczyna, która pozwala przystąpić do siebie takiemu typowi, jakim jest Bolek? Takiemu lowelasowi? To nie może być moim celem życiowym.

Staszek: Jesteś bardzo surowy. Mówiłbyś inaczej, gdyby spotkała ciebie w parku.

Janek: W każdym razie trzeba szybko działać. Musimy naprawić swoją reputację.

Staszek: Co robić?

Janek: Przyznać się do wszystkiego! Odkryć nasze kelnerowanie! Zdemaskować pana dyrektora. Zbadać, co jej brakuje. Czy rzeczywiście jest w potrzebie.

Staszek: I obciążyć tym Bolka — bo ty pomocy odmawiasz stanowczo.

Janek: Tego nie powiedziałem, ale uzależniam to od bliższego poznania tej osoby.

Staszek: Ach, tak? Bliższe poznanie świta saperskiej głowie? Nic z tego, panie kombatancie, zakotwiczony w „Dorchesterze". Jedyną żoną dla ciebie jest tylko Zazulińska. I to spiesz się, póki major nie wymaluje wspólnej sypialni małżeńskiej z naszą gospodynią.

Janek: Pozwolisz, że tobie przypomnę miss Jean Pool. Należy się spodziewać, że Bolek ją szczęśliwie odnalazł i zreferuje jej przebieg dzisiejszego wieczoru uczciwie...

Staszek: Więc z tego wynika, że mielibyśmy oddać Małgorzatę na pożarcie tego nędznika rydzowego, spadochroniarza, który leci na każdą babkę od lat osiemnastu do sześćdziesięciu?

Janek: Wszystko jedno, co się stanie! Włóż frak. (*wkłada z powrotem frak na siebie*) Przyszykujemy dla niej kolację, że niech się schowają nasze lokale elitarne—„Dorchester", „Berkeley", „Ritz". Bierz się do roboty.

Staszek: (*włożył frak*) Kolacja przeprosinowa dla Małgosi. (*westchnął*) Ach, cóż to za imię! Całe życie marzyłem...

Janek: Żeby co? Żeby się nazywać Małgorzatą?

Staszek: (*zadumany*) Śmiej się, śmiej. Ach — nie ma to, jak Polka. Teraz zrozumiałem przed chwilą, gdy tak swobodnie sobie z nią pogadałem — bez „please", bez „sorry", bez „excuse me", bez „darling"...

Janek: (*szykując razem z nim stół — nakrycie i potrawy, przyniesione przez nich i przez Bolka*) Jestem pewien, że twoja najbliższa rozmowa z miss Pool będzie na pewno bez „darling" i bez „please". Poza tym ty nie możesz narzekać. Twoja Angielka robi wielkie postępy w polskim języku. Sam słyszałem, gdy wczoraj całkiem gramatycznie klęła ciebie na ulicy za złe rozwiązanie konkursowej krzyżówki w gazecie londyńskiej.

Staszek: Krzyżówka gazetowa — to frajer. Co ja zrobię z tą krzyżówką życiową?

Janek: (*podając mu serwetkę*) Waiter — kelner — dinner is ready.

Staszek: (*biorąc serwetkę*) Yes, Sir. (*stają w postawie kelnerskiej koło stołu, zastawionego dla jednej osoby. Słychać głos Bolka za drzwiami*).

Bolek: Tędy, Miss Pool. Please, aqanti, sil qous plait — herein — wlazł — come in.

Miss Pool: (*w drzwiach — zobaczywszy Staszka*) Ty paskudna małpa jeden! you czarny typek! To ty girlsy do pokoju na malowanie zapraszasz, a ze mną na miasto się umawiasz? Tak ciebie w naszej „Air Force" uczyli? Tak mnie wypilotowałeś na dudka? Nie ma „darling" — nie ma „please" — nie ma narzeczona. Finish, kropka, pas! Understand? Comprenez? Kapujesz? Ponimajesz? You see?

Staszek: Finish? Dobra! Nareszcie. Ale musisz mi pozwolić na wyjaśnienie, „darling"...

Miss Pool: Nie ma „darling", stary łobuziaku!

Janek: A co? Nie mówiłem? — Nie ma „darling".

Bolek: Robiłem co mogłem w tej sprawie...

Staszek: To poznać. Ale my mamy rewanż dla ciebie...

Miss Pool: (*oddaje Staszkowi pierścionek*) Masz swój „ring", ty niewierna maszyno lotnicza. Nie dość, że sobie przez ciebie popsułam mój akcent angielski, jeszcze mie wyki... Jak się mówi? Wyki — wyki...

Staszek: Wykiwałeś!

Miss Pool: That's right! Thank you. Jesteś wolny jak ptaszek, możesz lecieć za każdą dziewczyną. Już widzę, jak się mój Johnny dziś ucieszy, gdy mu powiem, że z tym foreignerem waiterem finish. Good bye, boys... (*wychodzi*).

Staszek: (*z pierścionkiem w ręce*) Uff. Artyleria grzała silnie, ale obeszło się bez kraksy...

Janek: (*do Bolka*) Pan dyrektor — znowu przegrany.

Bolek: Zemsta jest rozkoszą bogów, ale nam, szarym ludziom, niezawsze się udaje...

Staszek: Niepotrzebnie tylko zrobiliśmy przykrość tej małej...

Bolek: Miss Pool?

Staszek: Co mnie Pool. To było nieporozumienie życiowe. Ja myślę o Małgorzacie.

Janek: Ściągaj płaszcz, Bolek, bierz serwetkę. Idziemy ją zaprosić na przeprosinową kolację.

Bolek: (*ściągnął płaszcz, jest we fraku, bierze serwetkę*) A gdzie ona?

Staszek: Pod opieką pani Zazulińskiej. Rozmowa w cztery oczy z udziałem majora.

Bolek: O — to niedobrze.

Janek: Idę na wywiad... (*wychodzi do przedpokoju*).

Staszek: Bolek! Cokolwiek się stanie, za tę przysługę z Pool dziękuję ci. To nie był start dla mnie, raczej przymusowe lądowanie.

Bolek: A teraz startujesz? Kierunek natarcia: Małgorzata? O nie, bratku. To jest moje odkrycie!

Staszek: Małgorzata nie jest odkryciem, tylko biedną, potrzebującą pomocy dziewczyną.

Bolek: Ja się nią zajmę!

Staszek: My się nią zajmiemy.

Janek: (*wraca z przedpokoju*) Wyrzucili mnie. Mówię, że noi się nią zajmą!

Bolek: Ciechcioń — to stary flirciarz kawalerzysta...

Janek: Zazulińska jest spłakana na bobra, Ciechcioń szarpie wąsy, a nasza Małgorzatka blada jak ściana...

Staszek: Co to może być?

Bolek: Idę tam! To mój gość.

Staszek: To nasz gość... (*zagradzają mu wyjście razem z Jankiem. W drzwiach staje Zazulińska skupiona, poważna, za nią Ciechcioń z Małgorzatą pod rękę*).

Bolek: (*do Janka*) Cóż to za uroczystość?

Janek: Może zaręczyny?

Staszek: Dajcie spokój...

Zazulińska: (*ogląda stół i przygotowania*) To dla Małgosi?

Razem: Tak jest...

Ciechcioń: No to niechże panna Małgosia siada! „Kelnerzy" czekają...

Bolek: To pani już wie?

Małgorzata: (*ściskając mu dłoń*) Wszystko już wiem — i z góry przebaczam.

Janek: Może pani Zazulińska też pozwoli?

Zazulińska: Owszem! A wie pan, że nawet winka łyknę, bo jest okazja.

Staszek: Jaka?

Ciechcioń: (*skromnie*) Doszliśmy z panią Apolonią do porozumienia...

Zazulińska: I dajemy na zapowiedzi. Bo co się będziemy męczyć osobno. Major maluje w nocy, ja gotuję w dzień...

Bolek: Słusznie, po co się macie męczyć osobno. Lepiej się męczyć razem...

Janek: Gratulacje...

Staszek: Najlepszego...

(*Janek, Staszek i Bolek sadzają Zazulińską, Małgorzatę i Ciechcionia przy stole, nalewają wino i z wprawą kelnerską obsługują swoich gości*).

Zazulińska: Nareszcie jestem w trzech najlepszych lokalach Londynu naraz: w „Dorchesterze", u „Berkeleya" i w „Ritzu". Za jednym zamachem! (*biorą się do picia i jedzenia*).

Ciechcioń: Czemu panna Małgorzata nie je?

Małgorzata: (*patrząc w talerz*) Ja nie wierzę, że to wszystko, co się stało dzisiejszego wieczoru, to prawda...

Bolek: A co się stało?

Janek: (*z aluzją*) Nie to w Green Parku!

Staszek: (*pokazując pierścionek*) Pani myśli o zerwaniu moich zaręczyn z miss Pool?

Zazulińska: Nie, panowie kombatanci. Pozwólcie, że „ciotka-furiatka" wam to wyjaśni...

Bolek: (*chrząknął*) Przepraszam. Spadochroniarski kawał. (*pocałował Zazulińską w rękę*).

Zazulińska: Nie szkodzi. Otóż Małgosia zostaje z nami.

Janek: Z kim?

Staszek: Z nami?

Ciechcioń: Nie z wami — tylko z nami.

Bolek: Jakto z wami?

Zazulińska: Poprostu zamieszka w dawnym pokoju pana Ciechcionia. Major zajmie na razie jeden z moich, dopóki nie zajmie całego domu w charakterze głowy rodziny.

Janek: Ależ pokój majora bardzo drogi.

Zazulińska: (*skarciła go wzrokiem*) Małgosia będzie naszym gościem...

Ciechcioń: A my jej opiekunami.

Bolek: My?

Ciechcioń: Nie wy — tylko my. Takich opiekunów jak pan znalazłoby się więcej w Londynie. Panna Małgosia nie ma tu nikogo. Rodziców w ogóle nie pamięta. Rodziny nie ma. Wyznała nam szczerze w długiej rozmowie, że poprostu nie ma się gdzie podziać. Do tej pory korzystała ze stypendium, które się nagle skończyło. No i teraz studia nawet stanęły pod znakiem zapytania...

Małgorzata: Proszę już tego nie mówić — panie majorze — mnie wstyd...

Ciechcioń: Wstyd? To my powinniśmy się wstydzić, że dopiero teraz dowiadujemy się o takich Małgorzatkach polskich. Nie wiem, jak inni w tym domu, ale ja znalazłem dzisiaj cel moich wysiłków. Będę malował z podwójną siłą pojedyńcze pokoje, żeby Małgosia mogła się uczyć. Bo ta nauka potrzebna już nie mnie, już nie nam, ale jeszcze komuś...

Małgorzata: Komu?

Ciechcioń: Komu? Niech panna Małgosia spojrzy dokoła: górnik, kelner, tkacz, pomywacz, malarz pokojowy. Inteligencja! Komu? Pyta się panna Małgosia — komu? Tej, dla której kiedyś w kawalerii szło się w szarży ułańskiej pod Rokitną... (*podkręcił wąsa*).

Staszek: (*szeptem do Bolka*) Jak teraz każe nam stanąć na baczność i zagrać marsza generalskiego, to go talerzem rąbnę po głowie.

(*Małgorzata ucałowała Zazulińską i Ciechcionia*).

Bolek: (*do Staszka*) Zamknij się...

Janek: (*po chwili*) A czy my możemy się jakoś przyczynić — panie majorze, pani Apolonio?

Zazulińska: Wy macie swój cel: zarobić — wypić jeden głębszy — potańczyć — zagrać na wyścigach pieskich...

Staszek: Tak się pani zdaje — na oko.

Janek: Bo my mówiliśmy — dziś właśnie po pracy, że brak nam radości życia. Teraz mieć ją możemy...

Małgorzata: (*podnosi na nich oczy*) Jakto? Ja mam być tą radością życia? Ja jestem bardzo smutna — nieciekawa — zauczona...

Staszek: (*z pierścionkiem w ręce do Bolka*) Gdyby to „spylić" szybko. Ile dadzą? Dochód brutto na fundusz Małgorzaty...

Bolek: (*z aluzją*) Może sam kupię? Kto wie, co się może przydać teraz przy takich zmianach w tutejszym pensjonacie...

(*Janek podchodzi do nich — na froncie sceny krótka szybka rozmowa, podczas gdy przy stole Zazulińska, Małgorzata i Ciechcioń markują rozmowę, jedząc powoli*).

Janek: Przekalkulowałem nasz budżet tygodniowy. Z dniem jutrzejszym kasuję aż do odwołania rozrywki filmowe, do połowy zmniejszam racje papierosowe, do jednej czwartej ograniczam wizyty w barze i pieski. Zgoda?

Bolek: Zaraz! Ile to daje tygodniowo, pomnożone przez trzy?

Staszek: Już obliczyłem; jako stary pilot obliczenia mam gotowe, nim otrzymam wszystkie dane. Suma oszczędności tygodniowych przy trzech wstrzymujących się da minimalnie: dwa funty i dziesięć szylingów — nie licząc pierścionka jako kapitału zakładowego, czyli kamienia węgielnego pod fundusz Małgorzaty.

Janek: (*podaje im rękę*) Teraz zrozumiałem, co znaczą słowa: stanąć w potrzebie...

Staszek: (*groteskowo*) Czołem!

Bolek: (*podobnie*) Czuwaj!

Janek: (*podobnie*) Cześć! (*śmieją się*).

Ciechcioń: Cóż to tam? Jakaś poufna odprawa?

Zazulińska: Może nowy jakiś figiel z „panem dyrektorem" i z „ciotką furiatką"?

Janek: Przeciwnie! Temat bojowy — odprawa ustaliła plan akcji i teraz nastąpi natarcie.

Cichcioń: Brawo! Jaki kierunek?

Razem: (*wszyscy trzej*) Małgorzata — panie majorze.

Janek: (*biorąc Zazulińską na bok, gdy inni podchodzą do pianina ze Staszkiem i Bolkiem*) Pani Apolonio — ja wiem, że pani miała i ma do mnie słabość, rzec można, sapersko matczyną...

Zazulińska: Panie Jasiu...

Janek: I dlatego proszę panią o przyjęcie nas do spółki...

Zazulińska: Do prowadzenia pensjonatu?

Janek: Nie — do prowadzenia Małgorzaty. Pani jej da mieszkanie, my w trójkę pokryjemy koszty jej utrzymania aż do ukończenia studiów. Razem z panią i majorem podzielimy resztę wydatków niespodziewanych, jak sukienka, buciki, pończochy, maj...

Zazulińska: Wystarczy! To już ja sama.

Janek: Chciałem powiedzieć: maj przyjdzie, to może dziewczyna się zakocha i wyjdzie za mąż. A wtedy podziękujemy pani za dobre serce...

Zazulińska: Jeżeli ona wyjdzie za mąż, to w każdym razie nie za mieszkańca tego domu.

Janek: (*całując ją w rękę*) Pani Apolonio, wobec tego od jutra się wyprowadzam...

Zazulińska: (*z uśmiechem*) Ach, ci saperzy — saperzy — nigdy się nie zmienią...

Janek: Nawet jako kelnerzy...
(*Małgorzata przy pianinie ze Staszkiem i Bolkiem — Ciechcioń obok oparty o pianino*).

Małgorzata: Czekamy na piosenkę...
(*Kończy jednoaktówkę piosenką, którą śpiewają: Janek, Staszek i Bolek przy pianinie. Każdy refren tej piosenki powtarzają w ewolucji: Małgorzata i Ciechcioń*).

1.

Saper — lotnik — spadochroniarz — wszystko jedno kto,
Dzisiaj nikt nie liczy się,
Dawniej każda broń chwaliła się piosenką swą
Teraz z piosenkami źle...

Refren:

Bo o czym tu mają śpiewać — nowi kelnerzy?
Kto ich wszystkich w piosence zbierze?
Jaki wspólny znak?
Muszka, gors i frak?
Anglia — Australia — Stany — czy Argentyna,
Szuka wszystkich piosnka jedyna,
Szuka jak brata brat,
Idąc z ojczystym słowem przez cały świat.

Zejdą kiedyś się kelnerzy, górnik, krawiec, tkacz,
Ktoś im powie: to już czas.
A ty piosnko razem z nimi też z radości płacz
I jak dawniej połącz nas:

Refren:

Spadochroniarze przyjdą — lotnik — saperzy,
Wszystkich piosnka po świecie zbierze.
Jaki wspólny znak?
Serc radosny takt
Warszawa — Kraków — Kresy — Śląsk i Pomorze,
Piosnka szepnie cicho: mój Boże...
Zdziwi się cały świat,
Że tyle serc czekało przez tyle lat!

(**Kurtyna**)



WIADOMOŚCI

z życia świetlic — przegląd wydawnictw — różne

JERZY SULIKOWSKI

Rozwój polskiej pieśni i muzyki fortepianowej

(Materiał do pogadanki ilustrowanej przykładami muzycznymi)

Dla pokolenia, wychowanego w Polsce przedwojennej, w atmosferze rodzimej sztuki, zrozumienie i odczucie narodowego pierwiastka w sztuce jest czymś naturalnym i niemal instynktownym. Inaczej ma się rzecz z młodzieżą, wzrastającą i wychowującą się na obcej ziemi w oderwaniu od źródeł kultury ojczystej.

Te czynniki, które z natury rzeczy podtrzymują kontakt z tradycją, jak prasa i radio, dziś najczęściej przynoszą obcy język i dają wyraz obcej mentalności i kulturze. Tym ważniejszym staje się dostarczanie młodzieży właściwej strawy moralnej. środkami w tej akcji zaradczej będzie dobra książka polska oraz stałe udostępnianie arcydzieł narodowej sztuki. Niestety, dostępny na obczyźnie materiał jest nader szczupły. W dziedzinie muzyki poza utworami Szopena, które i tak są powszechnie znane i często wykonywane, odczuwa się dotkliwy brak materiału, ilustrującego działalność innych kompozytorów, równie z naszego punktu widzenia ważnych i wartościowych, bo stwierdzających, że polska tradycja muzyczna nie opiera się na meteorach jak Szopen lub Paderewski, ale stanowi ciągły i logiczny postęp w dążeniu do osiągnięcia ideału sztuki narodowej.

Zainteresowani znajdą w tych kilku krótkich uwagach naszkicowany z grubsza plan, który im ułatwi organizowanie, w najskromniejszym choćby zakresie, ilustrowanych pogadanek na temat rozwoju muzyki polskiej od początku XIX wieku aż do chwili obecnej.

Audycje tego rodzaju zostały już wprowadzone w kilku gimnazjach polskich w W. Brytanii i przyjęcie ich przez młodzież szkolną potwierdziło ich konieczność i celowość. Efekt tych audycji jest tym skuteczniejszy, im bardziej pociągająca jest forma, w której są podawane młodym słuchaczom i słuchaczkom.

Należy więc raczej unikać przeciążania pogadanek danymi biograficznymi i datami; wystarczy ogólne scharakteryzowanie okresu i wskazanie, jako punktów orientacyjnych, zbieżności w czasie z ważniejszymi wypadkami politycznymi. W miarę możności należy dążyć do wprowadzenia „żywej" muzyki, a tylko w ostateczności posługiwać się płytami dla zilustrowania np. rozwoju muzyki symfonicznej. Oczywiście można zupełnie wyczerpująco zilustrować każdy niemal temat, posługując się tylko przykładami pieśni i muzyki fortepianowej, albo pieśni i muzyki skrzypcowej, wykorzystując bądź to lokalne talenty, bądź też zapraszając jednego lub dwóch wykonawców zawodowych. Wrażenia takie lepiej się utrwalą w pamięci słuchaczy, niż najdoskonalsze nawet nagrania muzyki mechanicznej.

Dobrym punktem wyjścia dla tego rodzaju prelekcji jest muzyka Stanisława Moniuszki, który był tym dla polskiej pieśni i opery, czym Szopen dla muzyki fortepianowej. Muzyka Moniuszki dziwnie bliska jest naszemu sercu dzięki swej szczerości i prostocie oraz umiejętności uchwycenia rdzennie polskiej nuty i nastroju. Również i teksty, do których pisał Moniuszko, odznaczają się prostotą i łatwo trafiają do wyobraźni słuchacza. Można przyjąć jako zasadę ogólną odczytywanie tekstów bardziej wartościowych lub charakterystycznych przed wykonaniem pieśni czy arii operowych. Wprowadza to słuchacza w odpowiedni nastrój, ułatwia mu śledzenie wątku muzyki i zrozumienie charakteru utworu.

Popularne arie z oper Moniuszki, jak „Aria z kurantem" ze „Strasznego dworu", „Szumią jodły na gór szczycie" z „Halki", wprowadzają nas od razu we właściwości rodzimego stylu muzycznego z jego umiłowaniem tradycji i wykorzystaniem pierwiastków folkloru, a epizody taneczne jak „Tańce góralskie" i „Mazur" z „Halki", są wzorem trafnego wykorzystania tańca ludowego w muzyce artystycznej. To samo odnosi się do pieśni Moniuszki, wydanych jeszcze za życia kompozytora w formie tzw. „Śpiewników domowych", które znalazły sobie drogę i pod prostą strzechę i do salonu arystokratycznego. Obok pieśni nastrojowych, jak „Dwie zorze", „Morel", „Pieśń wieczorna", znajdują się w „Śpiewnikach" przykłady beztroskiej wesołości (jak „Krakowiaczek") lub marsowej buńczuczności (jak „Pieśń wojenna").

Wobec bogactwa dorobku pieśniarskiego Moniuszki skromny ilościowo jest wkład Szopena, który tylko w początkowym okresie swej działalności uprawiał formę wokalną i zaniedbał ją w miarę postępu i specjalizacji w muzyce fortepianowej. Z siedemnastu jego pieśni zasługują zwłaszcza na uwagę pieśni o charakterze patriotycznym, których Moniuszko, pisząc pod okupacją moskiewską, nie mógł komponować. Do tej kategorii należy „Melodia" i „Śpiew pogrzebowy", dwa przykłady najpiękniejszych wzlotów patriotycznego natchnienia.

Tradycję pieśniarską podjęli w drugiej połowie XIX wieku kompozytorzy operowi i symfoniczni Żeleński

i Noskowski oraz największy polski symfonista Karłowicz. Chociaż znaczenie tych trzech twórców opiera się przede wszystkim na muzyce orkiestrowej, to jednak ich wkład do pieśni solowej stanowi ważne ogniwo w rozwoju pieśni polskiej, choćby ze względu na rozszerzenie i wzbogacenie skromnej za czasów Moniuszki formy pieśniarskiej zdobyczami harmonii i wyrazu muzycznego, które cechowały muzykę tego okresu. Zwłaszcza pieśni Karłowicza są nieporównanymi przykładami tzw. „pieśni przekomponowanej", która w odróżnieniu od tzw. „pieśni zwrotkowej", gdzie ta sama melodia powtarza się kilkakrotnie, idzie całkowicie za linią tekstu, starając się oddać wiernie jego zmienne nastroje. Do tej kategorii należą: „Na śniegu" i „Zawód", podczas gdy w „Zasmuconej" panuje jeszcze układ zwrotkowy. Z utworów Żeleńskiego do najpopularniejszych należy aria z opery „Janek", Noskowski zaś pozostawił nam takie perełki, jak „Skowroneczek śpiewa" i „A gdy poszedł król na wojnę", — ta ostatnia pieśń napisana do pełnych dramatycznego wyrazu słów Marii Konopnickiej.

Samorodnym talentem pieśniarskim tego okresu był Jan Gall, z którego pieśni utrzymała się na estradach koncertowych jedynie „Barkarola" o włoskim raczej charakterze.

Specjalną rolę w historii naszej pieśni odegrał Oskar Kolberg, który zebrał po latach żmudnej i systematycznej pracy około 30.000 autentycznych melodii ludowych w monumentalnym 37 tomowym dziele „Lud polski — jego zwyczaje, muzyka i taniec". Zbiór ten okazał się niewyczerpaną skarbnicą, z której czerpali pełną ręką kompozytorzy późniejsi.

Innymi drogami postępowała tymczasem muzyka fortepianowa tego okresu. Kierunek narodowy, wytknięty tak jasno przez Szopena, uległ zaniedbaniu, wyparty przez modny wówczas styl płytkiej błyskotliwości i popisu technicznego, jakiemu hołdowali ówcześni kompozytorzy fortepianowi. Idą za tym prądem tacy kompozytorzy, jak Adam Kątski, autor popularnego niegdyś „Przebudzenia lwa"; częściowo ulega mu także najzdolniejszy pianista, uczeń Liszta, Juliusz Zarębski, który jednak w niektórych utworach, jak „Polonez Fis-dur" i 3 część Kwintetu Fortepianowego", uderza w ton narodowej tradycji. Zarębski wybija się przede wszystkim jako nowator harmoniczny, zwiastujący na wiele lat naprzód pojawienie się tak zwanego stylu „impresjonistycznego", któremu hołdowali w początkach bieżącego stulecia kompozytorzy francuscy, a w ślad za nimi polscy, jak Karol Szymanowski w środkowym okresie swej działalności. Niestety, przedwczesna śmierć Zarębskiego nie pozwala mu rozwinąć w pełni skrzydeł i spełnić tych nadziei, jakie współcześni w nim pokładali.

Z dwóch braci Wieniawskich, niestety tylko starszy, Henryk, światowej sławy skrzypek, uprawiał kompozycję w duchu narodowym — Polonezy i Mazurki skrzypcowe, które do dnia dzisiejszego należą do ulubionych pozycji repertuarowych; natomiast młodszy, Józef, poszedł raczej po linii międzynarodowego stylu „salonowego", o czym świadczą takie, niegdyś powszechnie znane, kompozycje, jak Walc Koncertowy Des-dur.

Dopiero na przełomie wieku XX-ego kierunek narodowy znajduje swego wymownego i wpływowego przedstawiciela w osobie Ignacego Paderewskiego. Jako najznakomitszy pianista tego okresu, przez niezrównaną interpretację utworów Szopena oraz własnych, w rdzennie polskim stylu pisanych, przywraca pierwiastkom polskim należne im miejsce na estradach świata. Pełne ognia „Tańce polskie", „Polskie intermezzo", „Wariacje A-dur na temat ludowy", a przede wszystkim „Fantacja polska" na fortepian z towarzyszeniem orkiestry spełniły rolę ambasadorów naszych wobec świata zachodniego w przełomowym okresie, kiedy po pierwszej wojnie światowej ważyły się losy Europy.

W Polsce wyzwolonej kierunek, oparty na muzyce ludowej, znajduje licznych przedstawicieli zarówno po stronie kompozytorów postępowych z Karolem Szymanowskim na czele, jak i wśród muzyków usposobionych bardziej konserwatywnie. Podczas gdy Szymanowski w swoich „Mazurkach" podejmuje tradycję Szopena, lecz w szacie nowoczesnej atonalnej harmonii, Stanisław Nowowiejski popularyzuje element ludowy w bardziej przystępnej formie w takich zbiorach pieśni, jak „Jaśkowa dola", a Feliks Nowowiejski pisze operę patriotyczną „Legenda Bałtyku" i harmonizuje ze swoistym wdziękiem ludowe melodie, jak „Pamiętasz Janku". Nie sposób omówić choćby pobieżnie ważniejszych kompozytorów tego okresu, jakże krótkiego niestety, niepodległości. Po dwudziestu latach nieskrępowanego niczym rozwoju, muzyka polska musiała znowu schronić się do katakumb i podziemnym nurtem płynie, oczekując chwili nowego i trwałego tym razem wyzwolenia.

ADAM GALIŃSKI

JESZCZE O FILATELISTYCE

Czytając artykuły inż. W. Kwasta o zbieraniu znaczków pocztowych, uległem mimo woli ich entuzjastycznemu nastrojowi. Może nie nabiorę zamiłowania do tej rozrywki (czy naprawdę tylko rozrywki?), ale w każdym razie przekonałem się, że nie jest ona jedynie towarzyszką dzieciństwa, lecz może uprzyjemnić egzystencję niejednemu dojrzałemu mężowi.

Utwierdziła mnie w tym przekonaniu książka, wydana w ramach popularnej serii p.t. „Teach yourself Stamp Collecting" „Naucz się zbierania znaczków" (Londyn 1949, str. X i 190). Autor jej Fred J. Melville, zmarły w roku 1940, w ciągu wielu lat pisywał artykuły, popularyzujące rozsądne kolekcjonowanie znaczków pocztowych, i był jednym z założycieli Towarzystwa Filatelistycznego dla młodzieży. Wydanie jego książki jest niewątpliwie wyrazem uznania dla jego zasług na polu filatelistyki. Tekst jej uległ oczywiście koniecznym przeróbkom.

Pierwszą zaletą książki jest jej dostępna cena. Za cztery i pół szylinga można nabyć użyteczny przewodnik, wprowadzający w różne problemy filatelistyczne. Dalej wydawcy zamieścili

osobny rozdział, poświęcony słownikowemu wyjaśnieniu określeń, jakich używają pospolicie angielscy zbieracze znaczków pocztowych. Opanowanie tego materiału ułatwi znakomicie porozumiewanie się ze sprzedawcami oraz brytyjskimi miłośnikami filatelistyki (co jest rzeczą ważną, gdyż — jak wiadomo — wiele znaczków zdobywa się przez wymianę). Wreszcie podnieść należy dość obfitą część ilustracyjną, która ułatwia wprowadzenie nowicjusza w tajemnice zbierania znaczków.

Jeśli chodzi o początkową fazę zbierania, na ten temat czytaliśmy doskonałe rozważania inż. Kwasta i dlatego nie warto do niego powracać. Natomiast na uwagę zasługują bardzo praktyczne wskazówki, dotyczące rozmieszczenia znaczków i zaopatrywania ich dopiskami. Jest to sprawa doniosła z punktu widzenia amatora, który czerpie duże zadowolenie z porządkowania swojego zbioru i przegrupowywania okazów.

Są znaczki, które dezorientują nowicjusza. Wspomina o tym autor w rozdziale V, poświęconym rozpoznaniu krajów, z których znaczki pochodzą. Można się np. dowiedzieć, że kwiat wiśni o pięciu płatkach jest emblematem Korei; że znaczki japońskie mają rysunek chryzantemy o szesnastu płatkach; że Mandżuria wydaje znaczki z orchideją i t.p. Poza tym orientację ułatwia wykaz różnych napisów, jakie można dostrzec na znaczkach.

Nawet zupełnego laika zainteresują rozważania, dotyczące ciekawostek filatelistycznych. Należy do nich zaliczyć m.in. błędy, popełniane w tekście znaczków, albo też w szczegółach rysunku. Podobno Mark Twain, skazany na surową dietę, po spożyciu bardzo skromnego posiłku miał się odezwać: „A teraz chciałbym coś poczytać. Proszę o znaczek pocztowy". Ten paradoksalny dowcip traci swoje ostrze w stosunku do filatelistów, którzy odczytują swoje znaczki z największą uwagą, używając szkła powiększającego i nie szczędząc na tę czynność czasu. Niekiedy uwaga ich zostaje suto wynagrodzona, jeśli odkryją coś, co wartość znaczków powiększa, przynajmniej w ich własnych oczach.

Czytelnik polski, przeglądając książkę p. Melville, szuka w niej z nałogu czegoś swojskiego. Wśród odbitek znaczków portretowych odnajdzie czterdziestogroszowy znaczek z podobizną Fryderyka Szopena oraz młodzieńczo wyglądający portret Paderewskiego na znaczku za groszy piętnaście. Poza tym Polskę reprezentują trzy inne znaczki przedwojenne. Nie jest to mało jeśli się zważy, że Finlandia i inne państwa bałtyckie mają zaledwie po jednej odbitce.

Myślę, że warto przeczytać rozdział, w którym jest mowa o fałszerstwie znaczków. Autor wyróżnia dwie kategorie fałszerstw: dla używania na poczcie i dla wprowadzenia w błąd zbieraczy. Jeśli chodzi o grupę pierwszą, nie jest ona groźna dla filatelistów; niektórzy z nich kolekcjonują właśnie znaczki fałszywe; zresztą wskutek środków ostrożności, stosowanych przy druku i rozpowszechnianiu znaczków, fałszowanie ich jest zjawiskiem nieczęstym. Inaczej się przedstawia sprawa, jeśli chodzi o jakieś rzadkie okazy, specjalnie cenione i poszukiwane. Najtrudniej wykryć podrobione nadruki, które, jak wiadomo, często podnoszą wartość znaczków.

Dla czytelników, którzy zamierzają uczynić filatelistykę swoim zamiłowaniem specjalnym, do wskazówek inż. Kwasta pragniemy dorzucić jeszcze jedną. Jeśli chce się uzyskać prawdziwą satysfakcję z uprawiania jakiegoś „hobby", warto zaopatrzyć się w jakiś rozsądny a niedrogi przewodnik, chroniący przed zbytecznymi potknięciami na rozległym już dzisiaj polu filatelistycznym. To się na pewno opłaci.

WIKTOR KWAST

MAJSTROWANIE

JAK DBAĆ O ROWER

Naprawa dętki*)

Ostatnią wreszcie częścią koła, zasługującą również na uwagę podczas wiosennych porządków, będzie opona z dętką.

Gdy w czasach wojennych brakowało gumy, opony były robione ze sztucznych kompozycji, które nie wytrzymywały naprężenia czy zgięć, zwłaszcza przy niezbyt twardo napompowanej dętce, i pękały z boku. Pęknięcia te, powierzchowne z początku i małe, powiększały się z czasem, aż wreszcie obnażały podkład płótna, co się kończyło zwykle uszkodzeniem i opony i dętki.

Sprawdzić więc teraz trzeba, czy nie ma takich pęknięć na naszych oponach i czy nie trzeba się zdecydować na zastąpienie ich nowymi.

Operacja zmiany opony będzie taka sama, jak w wypadku naprawy normalnie „nawalonej kichy" w czasie wycieczki.

Niektórzy stawiają w takim wypadku rower do góry nogami i zabierają się do roboty, nie zdejmując koła. Ma to, być może, pewne uzasadnienie w wypadku, gdy koło jest z przerzutką w osi, i podregulowanie linki do zmiany biegów mogłoby sprawić niejaki kłopot. Zdaje się jednak, że z każdego punktu widzenia korzystniej będzie odkręcić koło od ramy i pracować wygodnie, bez szarpania się z całą maszyną.

Do normalnego zespołu narzędzi kolarza bez których się obejść nie sposób należą trzy dźwigienki do podważania opon (tyre levers). Wypuściwszy resztki powietrza z dętki i odkręciwszy nakrętki wentyla, wciska się takie narzędzie między brzeg obręczy i oponę. Uważając, aby nie uszkodzić wewnątrz delikatnej dętki, oprzeć wgłębieniem o brzeg opony i podważyć ją, cisnąc drugi koniec narzędzia ku dołowi, tak, aby go móc zaczepić o szprychę. Unieruchomiona w ten sposób dźwigienka trzyma sama podniesiony brzeg opony, co zwalnia całkowicie obie ręce pracującego. Drugą dźwigienką podnieść w ten sam sposób oponę w miejscu o 5 do 10 cm w lewo i znowu zaczepić o szprychę. Trzecia, podobnie zaczepiona jeszcze dalej w lewo, pozwoli na wyjęcie dźwigni drugiej i użycie jej jeszcze dalej, aż w końcu resztę opony będzie można uwolnić z obręczy palcami.

Teraz wydobyć delikatnie dętkę spomiędzy opony i obręczy i poszukać uszkodzenia. Najczęściej się to nie udaje, założyć więc wentyl na miejsce, zakręcić

*) *Patrz Nr 115 „Poradnika Świetlicowego".*

nakrętką i napompować pompką powietrze, aż dętka przybierze kształt dużego obwarzanka. Teraz pakuje się ją do napełnionej wodą miednicy, gdzie ulatujące bańki powietrza zdradzą położenie dziurki. Zaznaczyć ją na gumie chemicznym ołówkiem, znalezionym w pudełeczku z kompletem materiałów do naprawy dętki, t.zw. po ang. „Puncture outfit". Otrzeć teraz dętkę z wody gałganem, wypuścić z niej powietrze i część z uszkodzeniem rozłożyć płasko na stole.

Miejsce, na którym mamy nakleić łatkę, trzeba oczyścić z tłuszczu i innych zanieczyszczeń. Zwilżyć je więc i potrzeć nasiarkowanym łebkiem drewienka (sulphur stick), również wchodzącego w komplet „Puncture outfit". Powstałą stąd szarą maść ściera się czystym gałgankiem i czeka chwilę, aż wilgoć na gumie wyschnie.

Otworzyć teraz tubkę z klejem do gumy (rubber solution) i wycisnąć go tyle, aby niezbyt grubą warstwą pokrył dziurkę i jej okolicę.

Czekając, aż klej na gumie zgęstnieje, wydobyć łatkę z pudełka i oderwać jej białą płócienną podszeweczkę i odkrytą powierzchnią nałożyć łatkę na posmarowane klejem miejsce, mocno ją następnie przyciskając palcami. Można teraz naklejoną łatkę przycisnąć jakimś ciężkim przedmiotem i tak zostawić na parę minut.

Sprawdzić, czy łatka dobrze się przykleiła, i talkiem z pudełeczka zasypać miejsca nasmarowane klejem, a nie pokryte łatką, żeby się nie przykleiły później do opony.

Zaleca się zdjąć oponę z obręczy całkowicie, obejrzeć dokładnie, czy nie sterczy w niej jakiś cierń, drut czy odłamek szkła, który uszkodził dętkę, oraz pousuwać kamyczki wbite w wierzch opony. Kamyczki takie, czy odpryski szkła, pozostawione same sobie, prędzej czy później przebiją oponę i dotrą do dętki.

W wypadku znalezienia większej dziury w oponie należy ją załatać nagumowanym kawałkiem płótna, również zwykle dołączonego do „Puncture outfit". Nagumowany kawałek płótna, jak również i oponę, można posmarować „rubber solution".

Po oczyszczeniu wnętrza obręczy i poprawieniu taśmy ochronnej, pokrywającej końce szprych i ich nakrętki, założyć na nią oponę z powrotem, na razie jednym tylko brzegiem. Wcisnąć pod nią dętkę, zaczynając od przewleczenia wentyla przez umyślny otwór w obręczy. Uważać przy tym, aby dętka nie skręciła się i żeby w jednym miejscu nie była niepotrzebnie naciągnięta, gdy w innym zebrał się jej nadmiar. Wreszcie naprowadzić palcami do obręczy luźny brzeg opony, zaczynając od miejsca, gdzie jest wentyl. Trzy czwarte tej roboty pójdzie bez większego trudu, lecz reszta wymagać będzie wielkiego wysiłku. Gdy ktoś nie ma tak silnych palców, ażeby przepchnąć przez brzeg obręczy ostatni kawałek opony, — musi się uciec do pomocy owych narzędzi do zdejmowania opon. Zaczepiając je wgłębieniem, tym razem o brzeg obręczy, i pchając drugim końcem ku górze, zepchnąć trzeba oponę do środka. Czynność ta wymaga ogromnej uwagi, gdyż bardzo tu łatwo o „przyszczypanie" dętki żelazem i przedziurawienie.

Napompowawszy odrobinę powietrza, trzeba teraz zbadać, czy dętka nie podwinęła się czasem w którym miejscu pod brzeg opony. Będzie ją wtedy widać między oponą i obręczą. Dla wprowadzenia jej na właściwe miejsce trzeba się postarać uchwycić ją palcami, poprzez oponę, jak najniżej, i podciągnąć ku górze. Dosyć to trudna i żmudna robota, wymagająca silnych palców, ale niestety musi być wykonana dokładnie, w przeciwnym razie tak uszczypana guma dętki złamie się i sprawi nowy kłopot. Postawienie koła na sztorc i uderzanie dłonią z góry w oponę może wyzwolić uchwycony brzeg i nasunąć dętkę na miejsce, ale to musi być stwierdzone ponownym zbadaniem.

Uporawszy się z tymi kłopotami, można wreszcie napompować powietrza do sztywna i koło zamocować na miejscu właściwym w ramie.

„Keep inflated hard" — widnieją napisy na wszystkich oponach. Miarą twardości napompowania będzie długość styku koła z ziemią, przy obciążeniu roweru. Gdy się więc siedzi na rowerze, spłaszczona od ciężaru część opony nie może być dłuższa, niż 4 do 6 cali. Większe spłaszczenie opony powoduje nadmierne tarcie na boki gumy o ziemię i dodatkowo zużywa materiał, skracając życie opony.

Złożenie roweru i wyregulowanie

Gdy poszczególne części zostały już oczyszczone i doprowadzone do możliwie wysokiego stanu sprawności, można spróbować zrobić z nich rower z powrotem.

Zacząć od nałożenia łańcucha na duże koło zębate i zczepienia go umyślnym ogniwkiem. Potem założyć tylne koło, którego ostateczne zamocowanie jest uzależnione z jednej strony od naciągu łańcucha, łączącego jego zębatkę z zębatką pedałową, a z drugiej od położenia możliwie idealnie po środku między obu parami widełek.

Zamocować teraz tylny hamulec, podciągając i dokręcając prowadnice hamulcowe tak, aby oba klocki podeszły pod obręcz dostatecznie głęboko i przy podciągnięciu — równo do niej przylegały.

Podobnie postąpić z przednim kołem i jego hamulcem, co już jest znacznie łatwiejsze.

Skończywszy z kołami, postawić teraz rower w normalnej pozycji i sprawdzić prawidłowość działania hamulców. Starać się przy tym trzeba, aby przy pociskaniu dźwigni hamulcowych już mały ruch dosuwał klocki do obręczy. Zapewni to dłuższy czas ich działania bez dodatkowego podregulowywania. Osiągnąć to można przez odpowiednie skrócenie linek przy hamulcu szczękowym, czy drążków przy drugim typie, i podkręcenie regulujących nakrętek.

Sprawdzić, czy błotniki nie trą o opony, czy są zamocowane równo ponad kołami i czy wszystkie ich śruby mocujące są dostatecznie mocno dokręcone.

Jeszcze jedno dotknięcie regulujące, jeszcze dokręcenie tej, czy innej śrubki, — aż wreszcie przejść można do ostatecznego przetarcia całego roweru naoliwioną szmatką. Doda to połysku i wyglądu świeżości maszynie, a z drugiej strony zabezpieczy wytarte przy czyszczeniu części od zardzewienia. Nie smarować

zbyt obficie, gdyż grozi to później pobrudzeniem ubrania, a ponad to grubsza warstwa oliwy łapie kurz, tworząc brzydkie plamy.

Oporządzenie

Do ostatecznego oporządzenia roweru zalicza się: 1) oświetlenie, 2) torbę i bagażnik, 3) narzędzia.

1. Oświetlenie roweru jest ważne już nie tylko z punktu widzenia bezpieczeństwa podczas jazdy po ciemku, ale i dlatego, że wymagają go policyjne przepisy drogowe. Niepodporządkowanie się tym przepisom, czyto przez niedbałość własną, czy też z powodu kaprysów latarki, narazić może na nieprzyjemność i kary.

Przepisy wymagają, aby rower zaopatrzony był w latarkę na przodzie, czerwone światełko z tyłu, oraz zalecają posiadanie „białej plamy" z tyłu i reflektora czerwonego, który jarzy się od promieni światła zbliżającego się z tyłu pojazdu. Białą plamą, zwiększającą widoczność roweru w ciemności, jest zwykle pomalowana na biało tylna część tylnego błotnika.

Powyższe wymagania powinny być brane pod uwagę przy generalnym przeglądzie roweru. Czasy lamp naftowych czy karbidowych już dawno minęły. Obecnie używa się lamp elektrycznych. Źródłem energii może być bateria elektryczna, albo prądniczka, napędzana obrotem koła roweru.

Przednia latarka zawiera wewnątrz standartową baterię rowerową, składającą się z dwóch ogniw, o łącznym napięciu 3 wolty i nader dużej pojemności. Przy normalnym użyciu i starannym obchodzeniu się bateria starcza na kilka miesięcy.

Latarka tylna, przymocowana zazwyczaj umyślnym uchwytem do prawego pręta tylnych widełek, czerpie energię z pojedyńczego ogniwa o mniejszych wymiarach, niż ogniwo poprzednie, toteż wystarcza na znacznie krótszy okres czasu. Składa się z dwóch części. Jedna jest nieruchoma, a druga, z czerwonym szkłem i znajdującą się wewnątrz żaróweczką, jest nakręcana na poprzednią, przeciw oporowi sprężyny. Nakręcenie jej aż do zetknięcia z bateryjką zamyka obwód i zapala żaróweczkę. Jest to dosyć zdradliwa konstrukcja, gdyż nierzadko część ruchoma odkręca się z powodu drgań podczas jazdy i ginie po drodze wraz z bateryjką. Toteż ze względu na zapewnienie większej pewności w użyciu zaleca się i z tyłu używać takiej samej latarki, jak na przodzie, zaopatrzonej jedynie w czerwone szkiełko.

Latarki te są źródłem licznych kłopotów. Często się zdarza, iż latarka nie zapala się, pomimo wysiłku jej właściciela. Jest to zazwyczaj spowodowane przerwą w obwodzie w wyniku złego kontaktu między zbyt słabo sprężynującymi mosiężnymi końcówkami bateryjki i resztą obwodu elektrycznego, zaśniedzenia albo zardzewienia miejsc zetknięcia. Dla zapobieżenia temu, należy wszystkie miejsca styków posmarować cienko wazeliną, aby zapobiec korozji, podginać co jakiś czas końcówki i dbać, aby nie zginął zagięty kawałek drutu, wyglądający jak rączka, którego zadaniem jest właśnie zabezpieczenie kontaktu pomiędzy pudełkiem latarki a jej pokrywką. Drut ten brzęczy co prawda podczas jazdy, lecz można go unieruchomić przez zaczepienie za wygięcei uchwytu na tylnej części latarki.

Największym kłopotem jest, gdy do wnętrza latarki dostanie się wilgoć. Spowodować to może chemiczny rozkład baterii i wydobycie się jej kwasów na zewnątrz, w wyniku czego ulegają przeżarciu sprężyna, pudełko i w ogóle wszystkie części metalowe. Należy więc przyjąć za zasadę, ażeby po deszczu otworzyć latarkę i sprawdzić, czy woda nie dostała się do wnętrza. Przetarcie suchym gałgankiem zamoczonych części zapobiegnie możliwym kłopotom.

Bez porównania mniej troski sprawia oświetlenie, zasilane z umyślnej prądniczki rowerowej. Może ona być wbudowana w piastę koła albo zamocowana na przednim czy tylnym widelcu w ten sposób, aby w razie potrzeby, przyciśnięta sprężyną do brzegu opony, obracała się podczas jazdy roweru i wytwarzała niezbędną energię elektryczną.

W czasie przeglądu sprawdzić, czy połączenia drutów są pewne, czy metalowe części nie rdzewieją i czy jakieś złącza się nie rozluzowały. Jeśli latarka załączona jest jednym przewodem, przy użyciu ramy jako przewodu powrotnego sprawdzić, czy zetknięcie śruby kontaktowej z ramą nie jest zardzewiałe.

2. Torba i bagażnik, tak bardzo pożyteczne w każdej większej wycieczce, również wymagają nieco uwagi przy wiosennych porządkach. A więc sprawdzić należy czy nie ma dziur w torbie, czy szwy nie puściły i, czy rzemyki podtrzymujące nie przetarły się od użycia. Zbadać, czy śruby mocujące na bagażnik nie rozluzowały się i czy bagażnik dobrze trzyma się i nie brzęczy.

3. Wreszcie narzędzia. Bez pełnego zespołu narzędzi nie można wybierać się na poważniejszą wycieczkę. W razie najmniejszego „nawalenia" jest się wtedy zdanym na łaskę losu i na pomoc przezorniejszych kolarzy. Ażeby się więc czuć bezpiecznym, trzeba zawsze wozić z sobą w wyżej wymienionej torbie owe materiały do naprawy dętki lub opony, t. j. „Puncture outfit" do nabycia w każdym sklepie rowerowym, coś za szylinga. W skład kompletu wchodzą gumowe łatki, klej, nasiarkowane drewienko (po ang. „rubber solution"), chemiczny ołówek do zaznaczania dziurki na dętce, kawałek nagumowanego płótna do załatania opony, talk. Dalej mieć musimy zapasowe wentyle (rurki gumowe), zapasowe żaróweczki do latarek i ogniwko do łańcucha, a z narzędzi — klucz płaski uniwersalny tej samej firmy, co i rower, klucz francuski, trzy narzędzia do zdejmowania opony z koła (tyre levers), mocny śrubokręt, a czasem też i klucz do podkręcania szprych, jeśli koło ma tendencję do wichrzenia się podczas jazdy.

Robiąc wiosenne porządki — skompletować na nowo wszystkie te narzędzia, sprawdzić, czy są w dobrym stanie, i zapakować wraz z solidnym kawałkiem gałgana do umyślnej torebki na narzędzia, albo poprostu zawinąć starannie w równo złożony kawał szmaty i zawiązać sznurkiem lub ścisnąć gumką.

Nie należy zapominać o pompce, której trzeba również poświęcić nieco starania. A więc wyciągnąć nieco rączkę i wykręcić z rury pompy nakrętkę wraz z ukrytą pod nią sprężyną, a potem wyciągnąć ostatecznie cały tłok z rury. Metalowa część tłoka jest zakończona kawałkiem skóry, ukształtowanym jak kubek i otwartą stroną tłoczącym powietrze ku wylotowi. Otóż ta skórka jest zasadniczą częścią pompki i najbardziej ulega zużyciu. Obejrzeć ją więc należy, czy się nie przetarła, obetrzeć gałgankiem ze starego, brudnego smaru, rozpłaszczając ją przy tym. Wreszcie ukształtowawszy ją ponownie w ów kubek, naoliwić. To samo zrobić z wnętrzem pompki, następnie wciągnąć kubek do rury i zakręcić nakrętką. Zatkawszy palcem wylot, zbadać, czy spręża należycie powietrze.

Sprawdzamy, czy nakręcana rurka połączeniowa (nazwa angielska: pump connector), zwykle ukryta w rączce tłoka, jest szczelna i czy nie należy zastąpić jej nową.

Licznik kilometrów, a właściwie mil (cyclometer) nie wymaga specjalnego starania poza przetarciem i oczyszczeniem oraz sprawdzeniem, czy jego kółko zębate jest uderzane w odpowiednim miejscu. Nie należy go oliwić, gdyż przyrządzik ten jest tak wykonany, że nie potrzebuje tego zabiegu. Nawet przeciwnie, — oliwienie byłoby dlań szkodliwe, gdyż poszczególne jego kółka uruchamiane są dzięki tarciu powierzchni jednego o drugie.

Uwagi końcowe

Rower, aczkolwiek wygląda niepozornie, jest maszyną nader skomplikowaną. Mimo to żywot jego jest niemal nieograniczony pod warunkiem, że jest należycie doglądany i w razie uszkodzenia na czas naprawiony.

Niech garść podanych uwag posłuży więc jako wskazówka dla tych, co nie mają dość inicjatywy i śmiałości, z drugiej jednak strony nie lenią się, aby własnym wysiłkiem przygotować rower do sezonu wycieczkowego. Nie wyczerpują one oczywiście tematu, jednak przy ich pomocy i przy odrobinie zdrowego rozsądku można poradzić sobie z wszystkimi niemal napotykanymi trudnościami.

I jeszcze jedno. Zdobywszy się na wysiłek wyremontowania roweru i doprowadzenia go z powrotem do stanu zadawalającej sprawności, — trzeba o nim nie zapominać i nie dopuścić do ponownego zarośnięcia brudem i rozklekotania się.

Trzeba przyjąć jako zasadę, że będziemy systematycznie, co dwa — trzy tygodnie, oglądali maszynę starannie, aby ją naoliwić, podregulować i oczyścić. Robić to, gdy rower jest zupełnie suchy.

Usystematyzowana procedura tego zabiegu będzie wyglądała w taki sposób. Postawić rower do góry kołami; napuścić oliwy do łożyska kierownika; naoliwić osie kół, lejąc oliwę w przeznaczone dla tego celu dziurki i kręcąc kołem na przemian tak długo, aż bokami wyciekać będzie czysta oliwa; ostrą szczotką i gałganem oczyścić łańcuch z błota, piasku i kup zaschłego smaru; kręcąc pedałem, lać oliwę na łańcuch od wewnętrznej strony, aż wszystkie ogniska przejdą smarem; przetrzeć łańcuch gałganem, żeby smar nie brudził ubrania; wydłubać szkła, ciernie i kamyki z obu opon kół; położyć rower na bok i przemyć łożyska jednego pedału, a potem drugiego, jak opisano wyżej; postawić rower w pozycji normalnej i napuścić oliwy do głównego łożyska pedałowego; obejrzeć hamulce i podregulować w razie potrzeby; napuścić po kropelce oliwy na wszystkie miejsca hamulców, gdzie zachodzi tarcie, na rdzewiejące łebki śrub i nakrętek itp.

Czystym, dużym gałganem przeczyścić cały rower, a zwłaszcza koła; usunąć błoto, piasek zmieszany z oliwą itp. Na zakończenie naoliwionym gałgankiem przetrzeć ramę.

Tak doglądany rower będzie wyglądał jak nowy i nigdy nie zawiedzie swego właściciela.

WIEDZA I ŻYCIE

TADEUSZ FELSZTYN

FALE MORSKIE OPOWIADAJĄ O ODLEGŁYCH BURZACH

Każdy, kto uważnie obserwował zbliżające się do wybrzeża fale morskie, mógł łatwo zauważyć, jak bardzo są one złożone. Po kilku falach słabszych widzimy falę silniejszą, przy czym kolejność fal słabych i silnych powtarza się w identycznym niemal rytmie. Przedziwna harmonia nieustannie załamujących się grzbietów fal stanowi właśnie owo tajemnicze piękno, które przykuwa wzrok obserwatora i urzeka swym urokiem malarza.

Podobnie, jak dźwięki, które słyszymy, są wynikiem nakładania się na siebie licznych tonów — i to właśnie stanowi barwę i piękno instrumentów muzycznych — również i fale morskie pochodzą z rozmaitych źródeł i to, co obserwujemy u brzegu, jest wynikiem ich wzajemnego nakładania się na siebie. W przeciwieństwie jednak do fal głosowych, szybkość rozchodzenia się fal morskich jest rozmaita i zależna od częstotliwości fali, przy czym fale o mniejszej częstotliwości są szybsze od fal o częstotliwości większej. Dzięki temu więc dobiegają one do brzegu szybciej, uprzedzając niejako o nadciągających za nimi falach

o częstotliwości większej, które — zależnie od odległości burzy, jaka je wywołała — nadejść mogą nawet i w 24 godziny później. Ponieważ zaś te ostatnie fale, większą mając energię, przychodzą zwykle do brzegu jako fale znacznie wyższe (o większej „amplitudzie", jak mówią fizycy), niż fale je poprzedzające, toteż drobna fala o małej częstotliwości uprzedza niejako: „Uwaga! silna fala idzie za mną".

Niestety jednak drobność tej pierwszej fali, zrodzonej przez odległą burzę, powoduje, że bardzo często fale przybrzeżne, wywołane przez lokalne wiatry, całkowicie ją maskują, czyniąc ją niewidoczną nawet dla wprawnego obserwatora. Tam więc, gdzie zawodzi oko, konieczne są przyrządy.

Rozwój ich zawdzięczamy ostatniej wojnie światowej, a ściśle mówiąc, anglosaskiej inwazji w Normandii. Stan morza był dla powodzenia desantu rzeczą pierwszej wagi. Łatwo bowiem zrozumieć, że przy morzu burzliwym dobijanie łodzi desantowych do brzegu byłoby niezmiernie utrudnione, a tym samym powodzenie desantu mocno wątpliwe. Toteż uczeni angielscy i amerykańscy skonstruowali przyrządy, które z największą dokładnością ustalają przebieg falowania powierzchn morza, mierząc ciśnienie wody na dnie morskim, lub też notując echo głosu, wysłanego z dna morskiego i odbitego od grzbietu fali. Stąd zaś, przy pomocy względnie prostych maszyn liczących, można złożoną falę rozłożyć na poszczególne jej składniki i tym samym odkryć owe fale-zwiastuny odległej burzy. Znając więc prawa rozchodzenia się fal, można zarówno ustalić miejsce, gdzie burza szaleje, jak i przewidzieć na wiele godzin naprzód, jaki będzie stan morza na wybrzeżu własnym, czy nawet obcym.

Przepowiednie te okazały się bardzo dokładne i lądowanie na wybrzeżu Normandii odbyło się, zgodnie z przewidywaniem, przy morzu względnie spokojnym.

Przybory te mogą oddać duże usługi również i dla żeglugi w czasie pokoju. Uprzedzając bowiem wcześnie o nadciągających wysokich falach, pozwalają one ostrzec statki na czas i tym samym uniknąć skutków burzliwego morza. Ponadto, ustalając dokładnie miejsce odległej burzy, służą one za podstawę do komunikatów radiowych, które powiadamiają żeglujące na morzu statki o grożącym im niebezpieczeństwie. Ma to może mniejsze znaczenie na północnym Atlantyku, gdzie normalna służba meteorologiczna jest bardzo gęsta. Na morzach południowych jednak, gdzie sieć ta jest znacznie mniej rozbudowana, przepowiadanie burz przez obserwację fali okazało się wysoce pożyteczne.

RADAR PRZEPOWIADA POGODĘ

Również i drugi wynalazek wojenny, radar, oddaje obecnie duże usługi w czasie pokoju. O jego szerokich zastosowaniach w dziedzinie komunikacji, zwłaszcza powietrznej i morskiej, pisała prasa niejednokrotnie. Nie jest to jednak jedyne pole, gdzie ten tak pomysłowy przyrząd okazać się może pożytecznym. Ostatnio bowiem użyto go... do przepowiadania pogody.

Już w roku 1941 stwierdzono, że krótkie fale radiowe, wysyłane przez nadajniki radarów, odbijają się od obszarów w których pada deszcz i śnieg, a nawet od chmur, z których opady te pochodzą. W owym czasie była to raczej okoliczność niekorzystna, utrudniająca zadanie główne — wykrywanie samolotów nieprzyjacielskich. Po zakończeniu wojny jednak powrócono do bliższego badania tej sprawy i stwierdzono, że można ustalić ścisły związek między siłą odbitej fali, a natężeniem deszczu. W ten sposób dokładne ustalenie stref deszczowych na odległościach do 150 mil stało się rzeczą zupełnie możliwą, a tym samym i przepowiadanie z dokładnością do kilku minut, kiedy deszcz nadejdzie do danego miejsca. Ma to szczególne znaczenie zwłaszcza w krajach tropikalnych, gdzie gwałtowne deszcze, właściwe temu klimatowi, mogą nieraz całkowicie uniemożliwić lądowanie samolotów na lotniskach.

Co więcej, okazało się, że gęste chmury kłębiaste, zwane w meteorologii „cumulo-nimbusami", również odbijają fale radarowe. Chmury te są siedliskiem silnych wirów i potężnych prądów powietrznych, wstępujących i zstępujących, bardzo niebezpiecznych dla samolotów. Odpowiednie aparaty radarowe, umieszczone na samolotach, ostrzegać mogą pilota o istnieniu tych chmur na odległościach do 40 mil.

Inne, mniej gęste typy chmur nie odbijają fal radarowych. „Na szczęście", myśleli uczeni w czasie wojny, gdyż dzięki tem pochmurne niebo nie maskowało nalotu nieprzyjaciela. „Na nieszczęście", mówią dziś meteorologowie, dla których dokładna znajomość rozkładu chmur w powietrzu jest bardzo cennym elementem dla przepowiadania pogody. Toteż postanowili oni wykorzystać urządzenia radarowe w sposób nieco odmienny. Wysyłane mianowicie przez nadajniki radarowe fale dla wykrywania chmur nie są to, jak w normalnym radarze, krótkie fale radiowe, lecz poprostu zwykłe fale świetlne. A fale te, jak wiemy z własnego doświadczenia (skoro widzimy chmury), od chmur się nie odbijają. Taki więc „radar świetlny" pozwala na dokładne ustalenie położenia chmur w atmosferze do wysokości jakichś 6000 metrów.

Raz skonstruowany radar świetlny okazał się cenną pomocą dla meteorologa w zupełnie innej dziedzinie.

Dziesięć lat temu jedyną nieomal podstawą komunikatów meteorologicznych były pomiary ciśnień w poszczególnych miejscowościach i wiatrów tam panujących. Dziś jednak wiemy dobrze, że wskazania te są mocno zawodne i że jedynie dokładna znajomość stanu atmosfery na różnych wysokościach może dać nam miarodajną podstawę do przepowiadania pogody. Służące jednak do tego celu t.zw. radiosondy, są — mimo wszelkich udoskonaleń — dość kosztowne. A jeśli chodzi o badanie wyższych warstw atmosfery (ponad 18.000 metrów), jedynym do tego celu środkiem są rakiety typu V-2 (te same rakiety, które w czasie wojny tak dały się Londyńczykom we znaki), mogące osiągać wysokości nawet i do 100 kilometrów. Jest to jednak środek bardzo drogi i tym samym nieodpowiedni dla ciągłego stałego badania atmosfery.

I tu znów radar przychodzi z pomocą. Powietrze mianowicie nie jest bynajmniej doskonale przezroczyste, lecz — przeciwnie — rozprasza światło, co widzimy doskonale, gdy w najczystszym nawet dniu spoglądamy na odległe góry. Jak stwierdzono, powietrze odbija część światła, które przez nie przechodzi, przy czym natężenie światła odbitego ma ścisły związek z gęstością powietrza.

Wysyłając więc z nadajnika radarowego fale świetlne i mierząc siłę ich odbicia na poszczególnych wysokościach przy pomocy urządzeń, analogicznych do radaru, można w sposób stosunkowo tani ustalać gęstość powietrza w górnych warstwach atmosfery.

Dzięki tym wszystkim postępom w metodach pomiarowych przepowiadanie pogody staje się coraz ściślejsze i coraz bliższe rzeczywistości. A jakie to ma znaczenie dla wszystkich dziedzin życia, jest chyba rzeczą oczywistą.

FELIKS BIELSKI

PRZEDSTAWIENIE SŁOWACKIEGO W LONDYNIE

Sala „Assembly Hall" w pobliżu stacji King's Cross nie jest znana wśród Polaków, zamieszkałych w Londynie. Pragnęlibyśmy w tej okoliczności widzieć usprawiedliwienie dla tych wszystkich, którzy stracili okazję ujrzenia widowiska p.n. „Listy Słowackiego". Mówiono również o tym, że dzień sobotni nie jest najbardziej odpowiedni dla przedstawień, gdyż wiele osób wyjeżdża przy końcu tygodnia na wywczasy; jednak dla tego rodzaju okazji warto było zrezygnować z wypoczynku.

Nie było na sali tak pełno, jak tego należało oczekiwać; raziła zwłaszcza mała liczba młodzieży szkolnej, która powinna była pojawić się gremialnie. Jednak wolnych miejsc nie było za wiele. Miłym zjawiskiem była przyjemna reakcja publiczności, która przysłuchiwała się prozie i poezji Słowackiego z głębokim skupieniem. To zachowanie widzów stanowiło nagrodę dla wykonawców i organizatorów przedstawienia za poniesione trudy.

A wysiłek był naprawdę wielki. Pokazano bądź co bądź fragmenty z trzech dramatów: „Marii Stuart", „Mazepy" i „Kordiana". Wśród scen wybranych znalazł się m.in. spisek z „Kordiana", wymagający udziału nie tylko kilku aktorów, ale i zespołu statystów. Poszczególne epizody dramatyczne powiązano w całość widowiskową, posługując się korespondencją poety. Odczytano również kilka wierszy. Jak na widowisko właściwie jednorazowe, wysiłek przygotowawczy musiał być niewspółmierny w stosunku do efektu kasowego. Był to jeszcze jeden dowód zapału i dobrej woli ze strony teatru emigracyjnego, który nadal ma ambicję reprezentowania polskiej tradycji kulturalnej w jej najszlachetniejszej postaci.

Z punktu widzenia teatralnego pomysł widowiska okazał się udany. Na scenie pojawiła się najpierw p. Domańska, występując w roli matki Słowackiego, która niby odczytuje otrzymane od syna listy. Od czasu do czasu w korespondencji pojawiały się wzmianki o wydanych przez poetę utworach; wówczas lektorka milkła na czas pewien, a na scenie pojawiali się aktorzy dla wykonania odpowiedniego fragmentu dramatycznego lub recytacji wiersza.

Jak zarysowała się postać Słowackiego w świetle wybranych fragmentów? Portret wypadł nieco przesłodzony. Zabrakło tych utworów, w których rozbrzewają namiętności gwałtowniejsze; nie widzieliśmy Słowackiego w gniewie, w świętym oburzeniu, — nie słyszeliśmy jego gromów. Przyjemnym urozmaiceniem były epizody z „Mazepy", w których pobrzmiewała wyraźnie nuta humoru, stanowiąca pożądaną przeciwwagę tego smutku i melancholijnej zadumy, jaka górowała nad całym widowiskiem. Jednostronności nastrojowej nie można oczywiście brać za złe: w ramach jednego wieczoru ogarnięcie wszystkich tonów, pobrzmiewających w poezji Słowackiego, było niepodobieństwem.

Wśród wykonawców na czoło wysuwał się p. Blichewicz. Na barki jego złożono ciężar, przerastający właściwie siły jednego aktora, choćby najzdolniejszego. Był on kolejno Mazepą, błaznem Nickiem z „Marii Stuart" i wreszcie Kordianem. Samo podjęcie się trzech zupełnie odmiennych ról świadczy korzystnie o możliwościach, jakie ma przed sobą ten młody i ambitny aktor. Zdaje się, że najmniej odpowiadała mu rola Kordiana; a może wobec tego, że była ona grana na końcu, aktor uległ już naturalnemu w jego sytuacji znużeniu?

Wszyscy wykonawcy spełnili swoje zadanie z widocznym pietyzmem. Na specjalną pochwałę zasłużyło ujęcie roli Jana Kazimierza we fragmencie „Mazepy". Przyjemnie było oglądać p. Kielanowskiego jako nie tylko reżysera, ale i aktora (Henryk we fragmencie z „Marii Stuart"). Jeśli zna się warunki pracy aktorskiej na emigracji, należy pochwały uwielokrotnić. Dekoracje, rzucone na tło ciemnych kurtyn, stanowiły znakomity argument na rzecz ucieczki od realistycznej scenerii: wystarczyło np. jedno okno i tron, aby wyobraźnia widzów uzyskała wizję pałacu królewskiego. Jak zdołano ściągnąć wszystkie potrzebne kostiumy, to pozostanie tajemnicą organizatorów; to pewna, że na ogół przedstawiały się one efektownie. Zespół taneczny Sekcji Polskiej YMCA, który w ramach scen z „Mazepy" odtańczył majestatycznego poloneza, otrzymał gorące oklaski przy otwartej kurtynie.

Słowo wstępne Zygmunta Nowakowskiego szczęśliwie uzupełniło wieczór, kładąc nacisk na bojową, nieprzejednaną postawę ideową autora „Grobu Agamemnona". Wrażenie ogólne, jakie pozostało po przedstawieniu, było korzystne i przyczyniło się do dalszego podniesienia autorytetu naszych czynników teatralnych w społeczeństwie emigracyjnym. Zdołały one dać widzom wrażenie prawdziwego, dużego teatru.

Z ŻYCIA YMCA

KONCERT POLSKI YMCA W LONDYNIE

W dniu 11 kwietnia wielka sala Seymour Hall w Londynie była widownią wieczoru tańca, muzyki i pieśni polskiej, zorganizowanego przez Sekcję Polską Światowego Komitetu YMCA w Wielkiej Brytanii. Wbrew ponurym przewidywaniom organizatorów publiczność dopisała. Szkoda jedynie, że na sali widziało się stosunkowo niewiele młodzieży szkolnej, dla której tego rodzaju imprezy są szczególnie godne zalecenia, stanowią bowiem sposobność do zapoznania się z tymi działami naszego dorobku kulturalnego, z którymi niełatwo zetknąć się bezpośrednio na obczyźnie. Natomiast licznie przybyli przedstawiciele prasy oraz przyjaciele brytyjscy.

Przemówienie wstępne prof. Williama J. Rose (a raczej dwa przemówienia — w języku angielskim i polskim) stanowiło doskonałe wprowadzenie w atmosferę koncertu. Słuchacze brytyjscy dowiedzieli się ciekawych szczegółów o charakterze ogólnym polskich tańców narodowych. Uzupełniające wiadomości przyniósł starannie opracowany program. Mówcy przypadło również w udziale poinformowanie zebranych, że zapowiedziany występ artysty-śpiewaka p. Mariana Nowakowskiego nie odbędzie się, w ostatniej bowiem chwili musiał on wystąpić w Covent

Garden Opera wskutek choroby innego artysty. Program uzupełnił p. Jerzy Sulikowski, wykonując utwory Chopina. Organizatorzy poczuwają się do szczególnej wdzięczności wobec p. Sulikowskiego, który został uproszony o współudział dosłownie na kilka godzin przed koncertem. Nagrodą dla artysty było gorące przyjęcie przez publiczność.



Fragment z występu zespołu tanecznego YMCA

Jeśli chodzi o zespół taneczny, wykazał on zdecydowane postępy, zarówno jeśli chodzi o wyrobienie poszczególnych tancerzy, jak i zgranie całości. Efektowniej, niż zwykle, wypadły stroje, zwłaszcza przy polonezie i krakowiaku. Żywo oklaskiwano mazura i taniec zbójnicki. Wśród zebranych słyszało się wiele rozmów na temat rozgraniczenia, jakie dzieli stylizację taneczną od autentycznych wersji ludowych. Zdania były podzielone; jeśli jednak chodzi o reakcję ogólną, przesądziła ona sprawę na rzecz tej interpretacji, jaką zaprezentowali wykonawcy. Zwłaszcza widzowie angielscy, wśród których znajdowali się członkowie Royal Academy of Dancing, wyrażali się o zespole tanecznym i jego solistach z najwyższym uznaniem. Oklaskiwano również solistów w osobach Barbary Sławińskiej, Olgi Żeromskiej i Jerzego Filipiaka.

Oczekiwany z zainteresowaniem występ znakomitego skrzypka Wacława Niemczyka dostarczył silnych emocji artystycznych. Mimo ograniczenia się do wyłącznie polskiego repertuaru artysta ujawnił bardzo szeroką skalę swoich możliwości i dowiódł, że należy do czołowych wirtuozów skrzypcowych. Rozporządza on wzorową techniką i pięknym tonem. Wykonanie jego odznacza się rzeczowym podejściem do materiału muzycznego i jest wolne od sentymentalnej łezki. Czuje się on dobrze zarówno w klasycznym repertuarze wirtuozowskim (Wieniawski, jak i przy interpretacji muzyki nowoczesnej (Szymanowski). Gra p. Niemczyka zrobiła wielkie wrażenie i zwiększyła wydatnie jego popularność wśród polskich miłośników muzyki w Londynie.

Chór Polskiego Towarzystwa Śpiewaczego przechodzi rodzaj przesilenia w związku ze zmianą dyrygenta. Niemniej wykonanie pieśni, wymienionych w programie, wypadło zadowalająco. Życzymy chórowi, aby nie ustawał w pracy i wywalczył pieśni chóralnej należne jej stanowisko w ramach organizowanych na emigracji imprez artystycznych.

W bilansie ogólnym koncert odniósł wielki sukces, co wyraziło się w reakcji publiczności na sali oraz w korespondencji, jaka nadeszła do Sekcji Polskiej YMCA w Wielkiej Brytanii. Wszystkim wykonawcom i organizatorom należą się słowa uznania i wdzięczności.

MECZE PINGPONGOWE W BARNSLEY

Drużyna pingpongowa Klubu Sekcji Polskiej YMCA w Barnsley dzięki gorliwemu treningowi i ambicji osiągnęła kilka zwycięstw. Mecz z zespołem YMCA Sheffield dał wynik 3:2. Spotkanie z pingpongistami Nalgo zakończyło się efektownym wynikiem 5:0 dla barnsleyowców. Zawodom przyglądała się za każdym razem liczna grupa widzów.

DZIAŁALNOŚĆ WŚRÓD MŁODZIEŻY D.P. W NIEMCZECH

W miarę likwidowania większych skupień wysiedleńców YMCA kładzie coraz większy nacisk na pracę wśród grup D.P.. żyjących w rozproszeniu. W myśl tej wytycznej zajęto się w większym niż dotychczas stopniu opieką nad młodzieżą studiującą. Przed grudniem roku ub. studenci różnych narodowości stykali się ze sobą na obozach letnich oraz w Kołach Przyjaźni Międzynarodowej. Obecnie w czterech ośrodkach istnieją już grupy studenckie, posiadające skrystalizowane ramy organizacyjne. Zamierzają one uznać się za Międzynarodowe Grupy Studenckie YMCA/YWCA. Sekretarze YMCA zetknęli się z władzami miejskimi i uniwersyteckimi dla uzyskania samodzielnych siedzib w tych miastach uniwersyteckich, gdzie istnieją imkarskie zrzeszenia studenckie.

Przy końcu roku ub. odbyła się konferencja studencka D.P. YMCA ściągnęła fachowców, którzy w przeddzień obrad zaznajomili wybrany zespół młodzieży z techniką prowadzenia obrad. Przy współpracy kilku organizacji określono aktualne potrzeby studentów obcych na obszarze Niemiec. Udzielono również szczegółowych informacji o tych możliwościach, jakie stoją przed młodzieżą, studiującą w krajach emigracyjnych, jak Stany Zjednoczone, Kanada, Brazylia, Argentyna, Południowa Afryka itp. W konferencji wzięli udział delegaci grup studenckich oraz goście.

W marcu r.b. w strefie amerykańskiej Niemiec dokonano otwarcia pierwszego kursu szkoleniowego, przeznaczonego dla pracowników wśród młodzieży studenckiej.

WYCIECZKI DO FRANCJI

Komitet YMCA we Francji nadesłał prospekt, określający warunki wycieczek do Francji w ciągu roku bieżącego. Informacje dotyczą wszystkich kandydatów niezależnie od płci i wieku. Nie jest również konieczne należenie do YMCA; osoby z zewnątrz winny jedynie wykupić kartę uczestnictwa, której koszt wynosi 500 franków (około 10 szylingów). Dzieci powyżej lat 10 opłacają stawki, przewidziane dla dorosłych; dla dzieci młodszych można uzyskać opłaty ulgowe. Wszystkie ceny obejmują mieszkanie i pełne wyżywienie (trzy posiłki dziennie). Nie pobiera się dodatkowych opłat za usługę, ani podatku letniskowego; natomiast należność za napoje uiszcza się osobno. Uczestnicy imprez letniskowych YMCA we Francji nie mogą korzystać z kuchni dla przygotowywania posiłków na własną rękę.

Tegoroczny program letni obejmuje trzy imprezy:

1) Wakacje w domu YMCA „Carrefour des Jeunes'' — adres: La Rochette près Melun (Seine — Marne). Na miejscu przygotowano pomieszczenie w pokojach dla znaczniejszej liczby osób Przewiduje się uprawianie różnych gałęzi sportu, wycieczki d

Paryża, Fontainebleau i Wersalu, ponad to zaś kontakty z innymi grupami młodzieży zza granicy. Opłata dzienna: 450 franków.

2) Obóz w Saint-Raphael (Var.). Goście znajdą pomieszczenie w obszernych namiotach, mieszczących po cztery osoby i wyposażonych w łóżka polowe. Całość obozu mieści się na osobnym placu campingowym. W przypadku złej pogody można korzystać z wielkiego namiotu świetlicowego. Obóz mieści się w lesie, w odległości kilkuset metrów od morza. Posiłki będą podawane na tarasie osłoniętym dachem. Pożądane jest, aby uczestnicy mieli własny koc lub śpiwór. Opłata dzienna: 400 franków.

3) Ognisko w Saint-Raphael (Var.). W hotelu tym wszystkie pokoje są zaopatrzone w wodę bieżącą. Goście mają do rozporządzenia łazienkę. Hotel posiada dwa ocienione tarasy i własny ogród. Cena za pokój dwuosobowy — 580 franków dziennie; opłata dzienna za mieszkanie i utrzymanie w pokojach kilkuosobowych wynosi 500 franków.

Niezależnie od tego YMCA we Francji chętnie pośredniczy przy staraniach o pobyt w innych miejscowościach na obszarze Francji. Wszelką korespondencję należy przesyłać pod następującym adresem: Service de Voyages, 13, Avenue Raymond Poincaré, Paris 16ème (telefon PASsy 9296 lub 9297).

OBÓZ LETNI W BOTLEY (KOŁO SOUTHAMPTON)

Warunki zewnętrzne

Polska Sekcja Y.M.C.A. w W. Brytanii, nawiązując do przedwojennej tradycji obozownictwa imkarskiego w Kraju, urządza w sezonie letnim roku bieżącego OBÓZ LETNI dla chłopców w wieku od lat 12 do 18.

Obóz ten prowadzony będzie jako niezależna część obozu letniego Brytyjskiej Y.M.C.A. z własnym programem i kierownictwem. Namioty obozu mieścić się będą na obszarze wielkiego parku o powierzchni 88 akrów. Park ten, nadający się idealnie dla celów campingowych, leży nad rzeką Hamble, na której uczestnicy obozu korzystają z łodzi, żaglówek i kąpieli. Lesista okolica stwarza doskonałe warunki wycieczkowe. W programie obozowym przewidziane są również dalsze wycieczki do New Forest, Isle of Wight, zabytkowego miasta Winchester oraz zwiedzanie portów dalekomorskich Southampton i Portsmouth.

Zaopatrzenie

Obóz wyposażony jest w salę jadalną, salę gier, natryski i nowoczesne urządzenia higieniczne. Na miejscu czynny jest codziennie sklepik, zaopatrzony w produkty spożywcze oraz wszelkie przedmioty pierwszej potrzeby. Na miejscu znajdują się urządzenia do tenisa, koszykówki, siatkówki, piłki nożnej, pingponga i cricketa. Zapewniona jest również na miejscu opieka lekarska i zdrowotna.

Program

Program obozu opiera się na doświadczeniach i tradycjach obozownictwa Polskiej Y.M.C.A. przed wojną. Przewiduje się m. in. ogniska własne i wspólne z młodzieżą angielską, wszelkiego rodzaju ćwiczenia i rozgrywki sportowe, grupowe i indywidualne, z przystosowaniem do wieku każdego uczestnika, pogadanki i zajęcia w grupach zainteresowań, bliższe i dalsze wycieczki, kąpiele pod nadzorem itp. Uczestnicy obozu będą zgrupowani w zespołach po 6 — 8 pod opieką przeszkolonych przodowników. Nad całością czuwać będzie polski kierownik obozu, jeden z przedwojennych pracowników Polskiej Y.M.C.A.

Istotą obozów Y.M.C.A. jest dostarczanie uczestnikom pełnego wypoczynku poprzez odpowiedni program sportowo-rozrywkowy, połączony z higienicznymi warunkami zewnętrznymi oraz dobrym wyżywieniem. Posiłki przygotowuje kwalifikowany kucharz. Dokłada się wszelkich starań, aby były one zdrowe, smaczne i obfite.

Terminy

Obóz trwać będzie od dnia 15 lipca do 12 sierpnia 1950 r. Minimalny okres pobytu wynosi dwa tygodnie. Wyjazd do obozu i powrót odbywa się w sobotę.

Okresy tygodniowe podaje następująca tabelka:

Tydzień 1.	Tydzień 2.	Tydzień 3.	Tydzień 4.
15—22 lipca	22—29 lipca	29 lipca — 5 sierpnia	5—12 sierpnia

Opłaty

Koszt pobytu na obozie wynosi 34 szylingi tygodniowo. Opłata pokrywa należność za wyżywienie i pomieszczenie. Obóz zaopatruje chłopców we wszystkie potrzebne przedmioty i urządzenia z wyjątkiem osobistych przyborów toaletowych i przyborów do jedzenia. Listę przedmiotów, które uczestnicy winni zabrać ze sobą, podajemy osobno.

Całkowity koszt pobytu dwutygodniowego wynosi zatem £ 3.8.- (trzy funty osiem szylingów); pobyt trzytygodniowy kosztuje £ 5.2.0 (pięć funtów dwa szylingi), czterotygodniowy — £ 6.16.0 (sześć funtów szesnaście szylingów).

Wszelkich wiadomości udziela i zapisy przyjmuje Centrala Polskiej Sekcji Y.M.C.A.